

Grey Scale #13



DANES-PICTA.COM

A 1 2 3 4 5 6 M 8 9 10 11 12 13 14 15 B 17 18 19





PODSTAWY KULTURY NARODOWEJ

KULTURY NARODOWEJ

TEGOŻ AUTORA:

- EKSTAZA. *Poezje*. Lwów. 1898.
NOCE BEZSENNE. *Poezje*. Lwów, 1900.
ŚWIĘTO KWIATÓW. *Poezje*. Lwów, 1904.
KIEDY RANNE WSTAJĄ ZORZE. *Poezje*. Lwów, 1907.
OJCZE NASZ. *Modlitwy wieczorne*. Lwów, 1907.
OGLĄDAM SIĘ ZA SIEBIE. *Poezje*. Warszawa, 1912.
WYBÓR POEZJI. Warszawa, 1912.
TA, CO NIE ZGINEŁA (wspólnie z Edwardem Słońskim).
Warszawa, 1915.
KSIĄŻKA I CZŁOWIEK. Warszawa, 1916.
MIASTECZKO. Warszawa, 1917.
KRYZYS INTELIGENCJI POLSKIEJ. Warszawa, 1918.
KRAJ LAT DZIECINNYCH. *Poezje*. Warszawa, 1918.
KSIĄŻECZKA ŻOŁNIERZA POLSKIEGO. Warszawa,
1919.
POWITANIE MORZA. Warszawa, 1920.
ZA ATLANTYKIEM. Warszawa, 1921.
PODSTAWY KULTURY NARODOWEJ. Wyd. 1. War-
szawa, 1922.
NARODZINY IDEAŁU. Lwów—Poznań 1923.
POEZJE (1898—1923). Warszawa, 1923.

Z D Z I S Ł A W D Ę B I C K I

PODSTAWY KULTURY NARODOWEJ

WYDANIE DRUGIE



NAKŁAD GEBETHNERA I WOLFFA
WARSZAWA — KRAKÓW — LUBLIN — ŁÓDŹ
PARYŻ — POZNAŃ — WILNO — ZAKOPANE

Tłocznia
WŁ. ŁAZARSKIEGO
w Warszawie

6402/1

SKŁADY GŁÓWNE:

„THE POLISH BOOK IMPORTING C-o., INC.” — NEW-YORK
„KSIĘGARNIA POLSKA NA ŚLĄSKU, Sp. Akc.” — KATOWICE

1925

CYWILIZACJA A KULTURA

„WAS IST AM HEILIGSTEN? DAS, WAS DIE
MENSCHEN VERBINDET“.

J. W. Goethe.

„WAS IST AM MEISTEN DAS WAS DIE
MENSCHEN VERBORGET.“
J. N. G.

CYWILIZACJA A KULTURA.

Niema wyrazu bardziej nadużywanego w mowie potocznej, niż wyraz „kultura”, a jednocześnie niema wyrazu, co do którego panowałoby więcej nieporozumień.

Na każdym kroku słyszymy o „zadaniach kulturalnych”, o „potrzebach kulturalnych”, o „wysokiej lub niskiej kulturze” tego lub innego narodu, o „współzawodnictwie kulturalnem”, bardzo rzadko jednak zdajemy sobie sprawę z tego, na czym właściwie polegają te zadania, potrzeby i to współzawodnictwo.

Pojęcie *kultury*, przez długi czas zmieszane z pojęciem *cywilizacji* i niczem od niego nieodgraniczone, odniedawna zaczęto wyodrębniać.

Pomimo to nie udało się dotychczas dojść do ścisłych określeń naukowych *cywilizacji*, ani *kultury*.

Najbardziej utarta definicja, orzekająca, że *cywilizacja* ogarnia sobą ogół zdobyczy materialnych, osiągniętych przez ludzkość w jej rozwoju dziejowym, *kultura* zaś ma do czynienia

z podobnym dorobkiem w dziedzinie duchowej—pozostawia wiele do życzenia, zarówno bowiem do pojęcia cywilizacji dadzą się wprowadzić pewne wartości duchowe, jak i do pojęcia kultury pewne wartości materialne.

Jeżeli np. mówimy o kulturze życia domowego, to nie możemy mieć na myśli wyłącznie atmosfery duchowej, która wypełnia dom, dajmy na to, polski, ale kojarzy się to w naszym umyśle z całym urządzeniem tego domu, z tem „wnętrzem”, które, samo przez się materialne, wytwarza przecież pewien nastrój psychiczny, będący odbiciem duchowych upodobań i potrzeb mieszkańców. Kultura domu polskiego łączy przeto w sobie i jedno i drugie i, jako pojęcie, z okrągła się w całość dopiero przy współrzednem traktowaniu atmosfery duchowej z urządzeniem materialnem. Zespoleńie to jest tak ściśle, że daje nam możność odczuwania duszy w przedmiotach martwych. Ta dusza nie jest zaś niczem innym, jak tylko przeszczepieniem duchowych wartości mieszkańców domu na ich otoczenie materialne.

Ten przykład wyjaśnia nam aż nadto dobrze, że ryzykowną rzeczą jest oddzielanie bez zastrzeżeń tego, co jest duchem, od tego, co jest materją.

Pomiędzy jednym a drugą istnieje zawsze pewna, mniej lub więcej uchwytana, łączność.

Niewątpliwie też będziemy bliżsi prawdy, je-

żeli uznamy, że pojęcie kultury tworzy się nie tylko na podstawie duchowej, ale że współdziałają tu także i czynniki materialne, nabierające uduchowienia przez stały swój stosunek z człowiekiem i zdolne do obudzenia w nim dla siebie uczuć kategorii wyższej nad powszedni utylitaryzm.

Do wytworzenia tego rodzaju uczuć potrzebny jest czas.

Pojęcie czasu łączy się też nierozdzielnie z pojęciem *kultury*.

W wyrazie tym, który w języku polskim miałby najbliższy sobie odpowiednik w wyrazie „uprawa”, tkwi pojęcie *pracy*, a więc i pojęcie *czasu*, jako niezbędnego do wykonania każdej pracy.

Bez tej pracy w czasie, bez *uprawy*, która wymaga przygotowania gleby pod zasiew, rzucenia ziarna, starania o wzrost tego ziarna i cierpliwego oczekiwania na plon, niema przeto i nie może być rzetelnej kultury.

Kultura tedy nie jest darem nieba, ale *wypracowuje* ją każdy naród na przestrzeni wieków, wznosząc się powoli ku coraz wyższemu pojmowaniu życia i jego zadań.

Dlatego też *kultura narodowa* sięga korzeniami swojemi w głęboką przeszłość życia narodowego.

Nie powstaje ona z dzisiaj na jutro, nie jest ziarnem, które przywiewają na usiew wiatry dzie-

jowe, rzucając przypadkowo nasienie, przyniesione skądinąd, ale wytwarza się z wieku na wiek, z pokolenia na pokolenie na własnym swoim, rodzimym podłożu, na jednej i tej samej ziemi, wśród jednego i tego samego narodu.

Bez własnej kultury niema i nie może być narodu.

Kultura narodowa nie jest tedy niczem innym, jak sumą tych wszystkich uczuć, przywiązań i tradycji, które, wytworzone na przestrzeni wieków przez szeregiem idące po sobie pokolenia, tworzą moralne i materialne więzy, łączące ludzi, zamieszkujących jedno terytorjum i mówiących jednym językiem.

I dlatego nie wspólna ziemia, nawet nie wspólny język stanowią o istnieniu *narodu*, ale dopiero jego kultura.

Są ludy, które zajmują jedno terytorjum i mówią jednym językiem, a przecież narodami nie są. Naodwrot są narody, które mieszkają na rozmaitych ziemiach, które rozproszyły się po świecie, jak anglosasi, a które dzięki sile swojej kultury narodowej nie przestały być narodami wśród obcego, przeważającego liczebnie, otoczenia. Co więcej, siła ich kultury podbiła i zasymilowała narody o kulturze słabszej i doprowadziła do tego, że wielki aglomerat ras, zamieszkujących Stany Zjednoczone Ameryki północnej, przekształca się w naszych oczach w naród amerykański, mówiący jednym językiem angielskim

i posiadający jedną dominującą kulturę anglosaską.

To daje nam pojęcie o znaczeniu kultury i zbliża do zrozumienia jej istoty.

Jeżeli mówimy o poszczególnych narodach, jako o pewnych zdecydowanych indywidualnościach, jeżeli te ich cechy indywidualne rzucają się nam w oczy, jeżeli na ich podstawie wyodrębniamy je z wielkiej rodziny ludów, stanowiących ludzkość, to wszystko to dzieje się na podstawie kultury.

Tylko naród, posiadający swoją własną kulturę, t. j. ową więź, łączącą wszystkich jego członków, jak wspólne zawołanie łączyło niegdyś rody, prowadząc je do boju, ma swoją indywidualność i posiada szanse do jej zachowania i rozwoju.

Przeciwnie, szczerp bez kultury własnej lub naród o kulturze słabej albo wcale nie posiada tej indywidualności, albo zatracą ją w zetknięciu z innym narodem, ulegając prawu asymilacji.

Kultura jest tedy jeżeli nie jedyną, to najpotężniejszą bronią w walce każdego narodu o zachowanie jego indywidualności, o pozostanie samym sobą i zapewnienie sobie odrębności już nie tylko językowej i duchowej, ale terytorjalnej i politycznej, niema bowiem narodu o niepodległym bycie państwowym bez niepodległego życia kulturalnego.

Wszystko to nabiera niesłychanej wagi i do-

niosłości na tle epoki dzisiejszej, w dobie rozwijającego się współzawodnictwa pomiędzy narodami.

Współzawodnictwo to jest nietylko polityczne i gospodarcze, lecz i kulturalne. Narodom silnym idzie nietylko o to, aby miały przewagę w dziedzinie militarnej czy ekonomicznej nad słabszymi, ale idzie im także o osiągnięcie przewagi kulturalnej, o narzucenie swej kultury innym, co prowadzi za sobą zależność wszechstronną, równoznaczną z niewolą.

Niemieckie marzenia o *Weltstacie*, podobnie jak angielski imperjalizm, nie są oparte tylko o materialne interesy jednego i drugiego narodu, lecz mają także swoje źródło w niezachwianej wierze każdego Niemca i każdego Anglika w siłę i wyższość ich kultury narodowej nad kulturami innych narodów.

Zapanowanie kultury niemieckiej na świecie, w pojęciu wielu uczonych niemieckich, byłoby nietylko triumfem, należnym sile Niemców, ale byłoby zarazem drogą do szczęścia, jeżeli nie pełnią szczęścia dla tych narodów, które, stojąc niżej, powinny szukać w kulturze niemieckiej zaspokojenia swoich aspiracyj i tęsknot.

Podobnie mniema Anglik, który uważa kulturę anglosaską za szczyt tego, co w tej dziedzinie można osiągnąć, dla którego *człowiek* zaczyna się dopiero od mówiącego po angielsku, dla

którego zwyczaj i obyczaj angielski są bez współzawodnictwa.

I nie płynie to bynajmniej z idei podboju, jak u Niemców, ale z istotnego przeświadczenia o niezaprzeczonem prawie do panowania nad światem tego, co jest wyższe i lepsze.

Prawa tego istotnie zaprzeczyć nie można, ale pojęcie wyższości i lepszości jest tu względne. Każdy naród może bowiem swoją własną kulturę uważać za wyższą i lepszą od kultury innego narodu choćby dlatego, że odpowiada ona jego indywidualności, że jest wytworem jego własnym, liczącym się z potrzebami i pragnieniami duszy narodowej.

Dlatego każdy naród, posiadający samowiedzę, broni czystości swojej kultury przed naleciałościami i wpływami obcemi.

Obrona ta jest konieczna i na tle tej obrony zarysowuje się dopiero kapitalnie różnica, jaka istnieje pomiędzy cywilizacją a kulturą.

Cywilizacja z istoty swojej jest *międzynarodowa*. Mówimy dzisiaj o cywilizacji europejskiej, jako o cywilizacji nowoczesnej, i wszyscy życzymy jej zwycięstwa na kuli ziemskiej. Triumfalny jej pochód przez świat cały w ciągu XIX-go wieku stał z oblicza ziemi wiele różnic, które wyodrębniały poszczególne lądy i kraje.

Dzisiaj Europejczyk znajduje już z łatwością europejskie warunki istnienia na każdym kontynencie.

W Indjach, w Ameryce, w Japonji, w Chinach, w Honolulu, w Australji możemy mieszkać i żyć po europejsku, możemy oglądać i podziwiać wielkie hotele, urządzone z komfortem europejskim i wielkie fabryki, pracujące na wzór europejski przy pomocy maszyn parowych i elektrycznych.

Kolej żelazna wiezie nas już tak samo w głąb Afryki, jak do Paryża czy Londynu, a wielkie okręty linii oceanicznych utrzymują stałą komunikację pomiędzy portami wszystkich lądów, jak utrzymywały je niegdyś starożytne triremy w żegludze przybrzeżnej pomiędzy portami morza Śródziemnego.

Dawna cywilizacja śródziemnomorska w dalszym rozwoju swoim stała się więc już nietylko cywilizacją europejską, ale cywilizacją kuli ziemskiej.

Ten sam pług parowy, który kraje ziemię na olbrzymich farmach amerykańskich, orze dzisiaj na Mazowszu, ta sama kosiarka, żniwiarka i wiązalka, która pracuje na polach pszenicznych Wisconsinu, chodziła także przed wojną i niezadługo chodzić będzie po szumiących łąkach Ukrainy czarnoziemnej, ta sama młockarnia, która śpieszy się z omłotem jesiennym gdzie indziej, turkocze także na naszych polach.

W ten sposób życie upodobniło się ogromnie na całym świecie.

Pozornie jednak tylko. Bo wzamian tych róż-

nic, które zatarła idąca naprzód cywilizacja, uwydatniły się różnice inne, które wydobyły na jaw i uwypukliły rozwijające się *kultury narodowe*.

I nigdy jeszcze indywidualne rysy poszczególnych narodów nie wystąpiły i nie zarysowały się tak wyraźnie, jak obecnie. Nigdy właściwości i odrębności psychiczne ras i narodów nie przemówiły tak głośno, jak w naszych czasach.

Jakby w obawie przed niwelacyjną robotą cywilizacji, która jednakowym pokostem pociągała życie wszystkich krajów, czyniąc je jednakowo wygodnym i dostatnim, kultury poszczególnych narodów zaczęły się organizować do zachowania swojej odrębności i jednocześnie z wybuchem zdobyczy cywilizacyjnych, które są chlubą naszej epoki, nastąpił wybuch uczuć nacjonalistycznych, które obudziły w najmniejszych nawet narodach przywiązanie do tego, co było i jest ich własne.

Uczucia te poprowadziły narody nie w kierunku zacierania dzielących je różnic psychicznych, ale w kierunku pielęgnowania tych różnic dla przeciwstawienia ich międzynarodowemu szablonowi.

Nawskroś materialistyczna doktryna socjalizmu, idącego pod hasłem międzynarodowości, napotykała tu na swej drodze przeszkodę nie do zwalczenia.

„Proletariusze wszystkich krajów” gotowi byli do łączenia się dla walki z kapitałem, jako z do-

mniemanym swoim wrogiem, ale wahali się i wahają tam, gdzie międzynarodowość haseł socjalistycznych wkracza do ich duszy i narusza odwieczne, tkwiące tam, tradycje i przyzwyczajenia.

Socjalizm tedy, nie chcąc zbankrutować zupełnie, musiał przystroić się tu i owdzie w barwy narodowe i stać się socjalizmem polskim, niemieckim, francuskim i t. d.

Ta „narodowość” poszczególnych socjalizmów wyraźnie wystąpiła w chwili wybuchu wojny europejskiej i podczas całego jej przebiegu nie przestawała manifestować się jaskrawo.

Stanowisko, jakie zajęli w roku 1914-ym socjaliści niemieccy wobec imperjalistycznego rządu cesarza Wilhelma, gotowość, z jaką szli na pola bitew, aby przelewać swoją krew „za Niemcy” w przeświadczeniu, że Ojczyzna wymaga tego od nich, świadczy aż nadto wymownie o sile uczuć narodowych, które okazały się w masach robotniczych o wiele żywsze, niż uczucia dla haseł, wypisanych na czerwonym sztandarze.

Źródła tych uczuć narodowych, które dają narodowi świadomość jego odrębności i jego nienaruszalnych praw do zachowania tej odrębności, są także źródłami kultury narodowej.

Tam szukać należy materiału, z którego naród buduje swoją kulturę.

Budowa to mozolna i długa. Początki jej tkwią w odległej przeszłości, gdzie na podwalinach

ziemi i języka, tych dwóch potężnych czynników, bez których naród istnieć nie może, ale które, jak to mówiliśmy wyżej, jeszcze same przez się o istnieniu narodu nie stanowią, drogą nawarstwień, składanych cierpliwie przez każde pokolenie z myślą o pokoleniach następnych, utworzyły się pierwsze złoże kultury narodowej.

Patrzymy na nie dzisiaj tak, jak patrzymy na warstwy geologiczne, których układ daje nam pogląd na dzieje skorupy ziemskiej.

Podobnie układ warstwicowy kultury narodowej pozwala nam odtworzyć dzieje duszy każdego narodu i odsłania nam tajemnicze połączenia, istniejące pomiędzy ludźmi, należącymi do jednego narodu.

Połączeń tych jest wiele. Niewidoczne na powierzchni życia, rozgałęziają się one jak korzenie potężnego drzewa, skoro tylko zajrzemy głębiej w duszę każdego narodu, poznając jego tradycje, wierzenia, namiętności, ideały i dążenia.

Im naród jest większy, im potężniejszy świadomością swojej odrębnej duszy, tem więcej posiada on takich połączeń, które siecią swoją obejmują wszystkich.

Polacy, jako naród, połączeni są pomiędzy sobą tysiącami takich węzłów i dlatego kultura polska, która jest syntezą tych połączeń, należy do najsilniejszych kultur narodowych.

Podstawom, na których się ona wytworzyła

w ciągu wieków, przyjrzymy się nieco bliżej
w toku tej pracy, która ma za cel obudzenie
w jak najszerszem kole rodaków poczucia war-
tości własnej kultury i dążenia do jej
zachowania i rozwoju ku pomyśl-
ności i szczęściu pokoleń
następnych.

ZIEMIA A NARÓD.

Bliski i nierozzerwalny jest związek każdego narodu z jego ziemią.

Z potęgą tego uczucia, które nas wiąże z ojczyzną, często nie zdajemy sobie sprawy. Trzeba dopiero ojczyznę „stracić, jak zdrowie”, trzeba być od niej zdaleka, aby poznać i ocenić siłę swojego przywiązania do niej.

Tęsknota za ojczyzną nie ma sobie równych. Nostalgja jest jedną z najcięższych chorób duszy. Nęka ona swoje ofiary, a nawet je zabija.

Są to, zresztą, rzeczy znane, szczególnie w Polsce. Wystarczy sięgnąć do naszej poezji romantycznej, do pamiętników, pisanych przez naszych wygnańców na Sybirze albo przez dobrowolnych wychodźców politycznych po roku 1831-ym, aby przekonać się o dławiącej ich na obczyźnie tęsknocie.

Jeżeli jednak na wyższych stopniach świadomości narodowej, tam, gdzie mamy do czynienia z uczuciem patriotycznym, wyhodowaniem przez kulturę duszy, uczucie to składa się z nie-

zliczonej ilości włókien, wiążących człowieka z ziemią rodzinną, i wszystkimi jej tradycjami, to w swojej prostej, nieskomplikowanej postaci (u ludu) występuje ona z siłą elementarną, która zdumiewa.

Lud uczuć swoich nie analizuje, źródła ani postaci ich nie bada, ale żywiołowo kocha ziemię rodzinną, czując swój przyrodzony z nią związek.

Chłop polski, rzucony za ocean, nie przestaje nigdy tęsknić do ojczyzny.

On, dla którego ojczyzna była do niedawna macochą, który, w poszukiwaniu chleba, musiał pójść na poniewierkę i tułaczkę, który przeklinał nieraz swoją ciężką dolę we wsi rodzinnej, obraz tej wsi uniósł z sobą za morze i krzepi się jej wspomnieniem.

On, który tak mało czuł się Polakiem w domu, który w realnym stosunku swoim do życia nieświadomie raczej wyznawał zasadę, że ojczyzna jest tam, gdzie jest dobrze, oderwany od tej ojczyzny odnajduje dopiero w duszy swojej węzły, które go z nią łączą.

I oto na dźwięk cudownego wyrazu „Polska“ w oczach staje mu wszystko, co widział i znał od najwcześniejszych lat dziecięcych.

We mgłę oddalenia nabiera to przedziwnego uroku, błękitnieje i staje się cudownym marzeniem o dalekim, własnym kraju, z którym nic obcego równać się nie może.

Cóż jest w nas tą „Polską“, której wspomnienie tak łatwo lęz wyciska z oczu, roztkliwiając najtwardsze i najbardziej szorstkie, do sentymentów zgoła nieskłonne dusze?

Dla człowieka prostego, tak samo jak dla człowieka o wydelikacyonnych strunach uczucia — jest to przedewszystkiem *obraz ziemi*.

Ten obraz oczy nasze piły od chwili, kiedy rozwarły się na otaczające je piękno. Wsiąkał on w nas niepostrzeżenie. Wchodził w naszą duszę i dusza ta kształtowała się na jego podobieństwo, stawała się jego odbiciem.

Bo czemuż jest dusza polska, jeśli nie odbiciem ziemi polskiej, wszystkich jej kras i uroków?

Mówimy: „Polska“ i w tej chwili każdy z nas na swój sposób widzi tę Polskę, widzi to, co jest w nim z niej.

Więc „Polska“ — to wschody i zachody słońca, to błękit nieba i przestwór powietrza, to wiatry, hulające po równinach, to burze letnie i śnieżne zimowe, to wielka symfonia barw i dźwięków, zamknięta w jednym wyrazie.

„Polska“ — to szachownica pól, to łany szumiącego zboża, przecięte miedzami, na których rzadka „grusze siedzą“, to łąki, złote od jaskrów i pachnące ziołami, to lasy o rozchwianych gałęziach sosnowych i żywicznej woni, to rzeki i jeziora, to wsi i miasta, dymiące kominami fabryk.

„Polska“ — to wierzby rosochate nad strumieniami, niezabudki, kwitnące w rowach przydrożnych, gąszcze sitowia i tataraków nad stawami, czarne torfowiska i piaszczyste wygony, na których wybujały smukłe dziewanny.

„Polska“ — to owe łąbiny pachnące, to brzęk kos i dzwonienie sierpów w czas żniwa, to pług na roli, to poryk bydła, idącego w odwieczną do wodopoju, to skrzyp żórawia u wiejskiej studni.

„Polska“ — to klucz ptaków, lecących pod niebem, to gniazdo bocianie na stodole, to bąki i chróściele, obzywające się po łąkach, to świerszcze, dzwoniące w słoneczne południe, to jętki, fruujące nad wodą, jaskółki, szybujące wysoko, to ów szary wróbel Srula z Lubartowa*), to gwizdanie wiwilgi, stuk dzięcioła po lasach i śpiew słowików w krzaczach leszczynowych.

„Polska“ — to owe lipy kwitnące, rozbrzęczone rojami pracowitych pszczoł, to pasieki pełne plastrów złotego miodu, to ogrody, pachnące koprem, sady, osypane na wiosnę kwiatem jabłoni, grusz i czereśni, a rumiane pod jesień dojrzewającym owocem.

„Polska“ — to owa chata wiejska, słomą kryta, z malwami i słonecznikiem pod oknem, to prosty wóz drabiniasty, to mały konik chłopski, chrupiący sieczkę w stajni, to całe obejście gospodarskie drobnego rolnika, to wszystko, nawet

*) Adam Szymański. Szkice.

ów kogut, grzebiący na śmietniku i stąpający dumnie na czele stada kur, nawet ów Burek, oszczekujący przechodzącego przez wieś żyda czy żebraka.

„Polska“ — to owa figura przydrożna, ów krzyż na rozstajach, to kościół wiejski o dudniących organach, nabity rozmodlonym ludem, rozśpiewany starodawną pieśnią. To melodia kolendy wigilijnej, to majowe nabożeństwo z litanją do Najświętszej Panny, to strzelista prośba o orędownictwo do „Gwiazdy morza“, to procesja w dzień Bożego Ciała, to wesele wiejskie i pogrzeb, idący przez rozmiękłe drogi z czarnemi chorągwiami ku cmentarzowi, nad którym straż trzymają brzozy i świerki.

Możnaby te obrazy mnożyć do nieskończoności, bo „Polska“, to wszystko, co widziały nasze oczy, co zapadło nam w pamięć, co nas wykarmiło od młodu swoją barwą i swoim dźwiękiem.

To wszystko, co jest na tej ziemi i co jest z niej, jest nasze. Stało się naszym. Wrosło nam w duszę i żadna siła nam tego nie odbierze.

Obrazu ojczyzny nie zdoła zatrzeć czas. Idzie on za nami wszędzie i po latach wielu tym, którzy są zdaleka od kraju, ukazuje się jeszcze w marzeniu, wiecznie świeży i wiecznie żywy, coraz piękniejszy i droższy.

Nasz chłop w Brazylii przybija na pniu araukarji w dziewiczej puszczy parańskiej, którą karzuje, obrazek Matki Boski Częstochowskiej.

Dlaczego? Bo mu to daje Polskę, bo chce on ją mieć na obczyźnie. Widzi ją na tem drzewie i w tym obrazku, jak widział niegdyś, w ojczyźnie, na skraju lasu, przy piaszczystej drodze, samotną sosnę z takim samym przybitym na niej obrazkiem.

Wychodźca nasz w Stanach Zjednoczonych Ameryki północnej, oszczędzony z krwawej pracy pieniądza, przez lata całe hojną oddawał ręką na budowę kościołów polskich. Dlaczego? Bo chciał je mieć własne, polskie, nietylko katolickie, z polskim księdzem, z polskim zakrystjanem, z polską procesją—takie same, jak w ojczyźnie. Dążył do tego, aby dały mu one w dzień świąteczny żywą ojczyznę, jej przypomnienie w tysiącu szczegółach przeżytych i niezatartych w pamięci, w tysiącu obrazach, widzianych dawniej.

Jeżeli taka jest siła obrazu ziemi ojczystej w duszy ludu, jeżeli na podstawie jednakowego z nim „widzenia ojczyzny” możemy się z nim zrozumieć, to coś dopiero za siłą tkwi w tych różnolitych węzłach, które nas wiążą z ojczyzną już nie materjalnem jej przypomnieniem, ale uczuciem, które budzi świadomość głębokiej treści, tkwiącej w każdym wspomnieniu, w każdej tradycji.

Synteza tych wspomnień, synteza tych tradycji cywilizacyjno-kulturalnych, synteza tych przeżyć, które są za nami, a które, chociaż nie

indywidualne, bo rozłożone na szereg pokoleń. wzbogacają przecież naszą duszę, są w niej i stanowią najistotniejszą jej treść — czyni z nas dopiero *naród*.

Świadomość kolei i losów tej ziemi, która jest podłożem naszego istnienia, zespala nas dopiero i łączy w związek nierozzerwalny.

Przez ziemię stajemy się *rodakami*.

I nigdy przybysz obcy w zetknięciu z ziemią danego narodu i z jej pomnikami nie dozna tych wzruszeń, jakich doznaje urodzony mieszkaniec tej ziemi.

Każdy kamień, każdy dom stary, każda świątynia budzi w nim pewne uczucia. Nie może on być obojętnym na te ślady, które w pochodzie swoim wyrzeźbiła na ziemi historia narodu. Nie może nie oglądać się za siebie i nie odczuwać dorobku pokoleń przeszłych a tem samem duchowej siły twórczej, którą te pokolenia wniosły do skarbcza narodowego.

Im zaś dłuższy łańcuch rozwoju dziejowego, im więcej składa się na niego ogniów, tem liczniejsze są na obliczu ziemi pamiątki życia i pracy przeszłości.

I biada narodowi, który tych pamiątek nie szanuje, nie ma, lub nie widzi.

Jaskrawym tego przykładem jest Rosja. Nazwał ją Mickiewicz „krajem pustą, białą i otwartą”.

Ta pusta kraina, gdzie oko nie ma się na czem

zatrzymać, nie ma czego pokochać i do czego przywrzeć trwałem przywiązaniem, gdzie poza Kremlen i Kitajgorodem moskiewskim niema prawie żadnej pamiątki historycznej, drogiej sercu narodu — stała się podczas rewolucji obecnej ofiarą niebywałego w dziejach zniszczenia.

I bodaj szczęściem dla ludzkości nazwać można fakt, że eksperyment bolszewizmu przeprowadzony został na ziemi rosyjskiej a nie na innej ziemi, wypadł on bowiem stosunkowo *tanio*, gdyż przy olbrzymim zniszczeniu zginęło tam mało pomników cywilizacji i kultury, bo było ich mało.

Gdzie indziej starty w tym zakresie byłyby znacznie większe nawet przy mniejszem, niż w Rosji, barbarzyństwie tłumu. Wyobraźmy sobie tylko, że nie Petersburg staje się pastwą spuszczonego z łańcucha i zdziczałego w swoich instynktach proletariatu, ale Paryż, Londyn lub Rzym!

Trudno nie błogosławić nieba za to, że wybrało za teren wielkiego doświadczenia dziejowego państwo Iwana Groźnego.

Tu jednak zastępuje nam drogę pytanie, czy gdziekolwiek indziej, wśród jakiegokolwiek innego narodu europejskiego możliwy byłby taki wybuch psychozy zniszczenia, jaki nastąpił w Rosji?

Psychologja tłumu nie wyłącza możliwości, że nawet w społeczeństwach, stojących na wy-

sokim poziomie rozwoju kulturalnego, mogą powstawać zjawiska o typowych cechach barbarzyństwa. Barbarzyńską była przecież komuna paryska z roku 1870-go, ale trwała krótko i została otamowana przez czynniki praworządne. Barbarzyńskim był także bolszewizm w Niemczech i na Węgrzech, ale minął, bo spotkał się z odporem większości narodowych.

I na tej podstawie można wnosić, że żaden inny naród, posiadający ustalone tradycje i wyrosłą na tych tradycjach siłę przywiązania do swoich dóbr kulturalnych, nie umiałby niszczyć tak bezmyślnie i dla zasady samego niszczenia, jak to czynił i czyni jeszcze dotychczas naród rosyjski, mimo, że jest już w ruinie, że kraj swój zamienił w piekło i w cmentarz.

Trzy lata*) trwa ta orgja destrukcji i przez trzy lata nie nastąpiło otrzeźwienie. Ani jednego *lucidum intervallum*, ani jednego protestu ze strony duszy narodu przeciw sponiewieraniu jego świętości.

To znaczy, że tych świętości nie było, że dusza narodu nie zrosła się z niczem, w czego obronie stanęłaby mocno i nieprzejednanie. Ani z państwem, ani z kościołem, ani z rodziną, ani nawet

*) Pisane w roku 1921-ym. Dzisiaj po siedmiu latach trwania rządów czerwonych w Rosji powtórzyć można to samo.

z ziemią i z tem, co zbudował na niej wysiłek pokoleń poprzednich.

W Rosji ten wysiłek był minimalny i dlatego tłum nie brał go w rachubę, nie dostrzegał nawet.

Toczył się, jak lawina i niszczył, jak lawina, w imię najbardziej barbarzyńskiej, najsprzeczniejszej z zasadami cywilizacji i kultury zasady: „goły człowiek na gołej ziemi”.

Zasada taka nie mieści się w żadnym mózgu zachodnio-europejskim.

Umysł Europejczyka rozumie, że rozwój ludzkości i rozwój poszczególnych narodów polega na ciągłości, że kultura jest nieustanną nadbudową, że do szczytów trzeba iść od podwalin. I dlatego wszędzie te podwaliny, założone przed wiekami, są szanowane.

Świadomość ich istnienia jest potężną więzią dla narodu, łącznikiem dusz poszczególnych w jedną duszę zbiorową, która ma wspólne odczucie wspólnych rzeczy.

Jeżeli Polak wymawia lub słyszy wymówione wyrazy: „Krakus”, „Wanda”, „Wawel”, to w duszy jego powstaje nie tylko obraz kopców pamiątkowych i wzgórza wawelskiego, lecz powstaje jednocześnie cały szereg skojarzeń myślowych, które od legendarnego początku Polski, od fundamentów państwa polskiego prowadzą go przez całe tysiąclecie dzieje narodu aż do chwili obecnej.

Jeżeli wymawiamy lub słyszymy nazwy pól bitewnych, to nietylko na ich dźwięk mamy wizję wspaniałych czynów rycerskich, dokonanych przez naszych przodków, ale jednocześnie w świadomości naszej budzi się przeświadczenie, że dzięki tym czynom, dzięki tej krwi, ofiarnie przelanej, naród i państwo albo utrwały swoje istnienie, albo broniły swojego honoru.

Na ziemi naszej wszystko mówi do nas. I dlatego to, co przodkowie nasi zbudowali z kamienia czy z drzewa, o co w ten lub inny sposób zaczęli kołami swojemi rydwan historii, nie jest tylko materialną pamiątką dla narodu. To ma także swoją duszę, swoją treść wewnętrzną.

Ma ją świątynia i pałac wielkopański, dwór wiejski i chata, ma ją nawet ruina, której czas nie oszczędził.

Naród odczuwa to swoim instynktem. Instynkt ten posiada każdy Polak. On to prowadzi go nie tylko do ziemi, jako do źródła najsilniejszego przywiązania i budzi w nim nietylko miłość dla krajobrazu rodzimego, ale nie pozwala mu także stać obojętnie w obliczu jakichkolwiek pomników przeszłości narodowej, acz nieraz, jeśli jest prostym, nieoświeconym człowiekiem, nie rozumie całej ich doniosłości dziejowej i znaczenia kulturalnego.

Takiego instynktu nie posiada natomiast, od wieków zamieszkały na ziemi naszej, Żyd i dlatego jest na tej ziemi obcym.

Różnicę, jaka w dziedzinie odczuwania przeszłości zachodzi pomiędzy Polakiem a Żydem, uwydatnił kiedyś doskonale J. Kucharzewski w swojej mowie kandydackiej na posła m. Warszawy.

„Jeżeli idę ulicami tego miasta — mówił — (*cytuje z pamięci*) to, jako Polak, zaczepiam się tu myślą o każdy zrab muru, o każdą kamienicę. Wszystko mówi do mnie. Wszystko jest dla mnie pamiątką. Tymczasem Żyd mija te same ulice bez wzruszenia. Te domy są dla niego tylko domami, które można kupić lub sprzedać. Niczem więcej. Wszystko jedno, czy to kamienica ks. Mazowieckich, czy dom Skargi. Nic mu nie mówią stare odrzwia i wykusze, nic mu nie mówi katedra Ś-to Jańska, ani Zamek Królewski, ani Kolumna Zygmunta, ani pałace, stojące przy Krakowskiem Przedmieściu“.

I to jest kapitalna różnica, która nas dzieli, która wyodrębnia Żydów z narodu, która pomimo wiekowego ich zamieszkania na ziemi polskiej, odgradza ich od tej ziemi brakiem uczucia dla niej i brakiem zrozumienia jej przeszłości. Mogą być w tej dziedzinie wyjątki, ale ogół żydowski nie wzniesie się nigdy do polskiego pojęcia o ziemi rodzinnej, do polskiego ukochania Ojczyzny.

Brak mu do tego instynktu rasy, brak tych aryjskich pierwiastków w duszy, które działały podświadomie na rzecz poczucia łączności każdego polaka z ziemią i które pomiędzy nim a tą

ziemią zadzierzgałą węzły nierozzerwalnego przywiązania.

Gdy Żyd z rasowego instynktu swego jest tułaczem i wędrowcem, my wrosliśmy w ziemię korzeniami naszych dusz. Stamtąd pijemy te prze-dziwne soki, które nas odżywiają, które nam po-zwalają rozrastać się w sobie i męźnieć.

Związek to rozciągnięty na pokolenia i —
mimo hasła międzynarodowości, — z każ-
dem pokoleniem silniejszy i trwalszy,
bo żadne hasło prawa przyro-
dy nie odmieni.

JĘZYK A NARÓD.

Cudowna tajemnica wytwarzania się odrębnych języków na świecie łączy się z tajemnicą związku człowieka z ziemią.

Człowiek pierwotny, który żył blisko z przyrodą, na stosunku swoim do niej kształcił się i rozwijał. Ona dawała mu wszystkie wrażenia, z których powstały w następstwie sądy i wyobrażenia. Źródłem też wszystkich pojęć zasadniczych, które z biegiem czasu zdobył i przyswoił sobie umysł ludzki, jest ziemia.

Język, to cudowne narzędzie, przeznaczone do porozumiewania się ludzi pomiędzy sobą, do oddawania najdelikatniejszych uczuć i najszczytniejszych myśli, ma swój dźwięk i swoją barwę. Wyrazy dzwonią i wyrazy mają kolor. I jedno i drugie dała im ziemia. Muzyka języka jest muzyką ziemi, na której ten język powstał lub rozwinął się. Barwa jego jest także barwą jego ziemi. Z łatwością możemy to dostrzec, porównywając język poetycki rozmaitych narodów. Język, pełen porównań i przenośni, które zawsze

czerpane są z bezpośredniego otoczenia poety, a które są wykładnikiem jego stosunku do ziemi rodzinnej.

Nietylko atoli język poezji, lecz i zwykły język potoczny, którym posługujemy się w mowie codziennej, świadczy o naszym związku z ziemią.

Łączy on nas podobnie, jak łączy ziemia. Daje nam, tak samo, jak ziemia, wspólność odczuwania wszystkiego, co stanowi naszą treść wewnętrzną.

Jeżeli mówimy do siebie naszym językiem, to każdy wyraz budzi w nas pokrewne uczucia, wywołuje jedne i te same obrazy.

Jeżeli mówimy „sosna” lub „dąb”, to każdy z nas widzi te drzewa takimi, jakimi ma je w duszy, jako fragmenty wielkiego obrazu ziemi ojczystej.

Jeżeli mówimy „miłość” lub „przyjaźń” — to powstają w naszych umysłach pojęcia, swoiste dla naszego sposobu odczuwania tych związków duchowych.

W możliwości tego bliskiego, wnikliwego porozumienia się ludzi, mających wspólny język ojczysty, leży cudotwórstwo języka.

Z cudzoziemcami nigdy porozumieć się tak nie można. Zawsze pozostaną rzeczy niedopowiedziane, rzeczy niezrozumiane.

Pełnię porozumienia duchowego i umysłowego osiąga tylko rodak z rodakiem.

Dlatego język jest równorzędnym z ziemią *skarbem narodu*.

Bezcenny ten skarb, również, jak ziemia, nasycony tradycjami, ale w daleko większym stopniu, niż ona, będący syntezą cywilizacyjno-kulturalnych przeżyć narodu, przy bliższym badaniu ukazuje nam cały rozwój duchowy narodu.

Język—to dzieje duszy narodu, od zamierzchłych, pradawnych czasów, od pierwszych nieartykułowanych dźwięków, którymi posługiwali się nasi dalecy przodkowie — po cudowną mowę Mickiewicza, po wspaniałą muzykę oktaw Słowackiego, po płomienną prozę autora Irydjona.

W języku jest wszystko — szept miłosny kochanków, modlitwa matki nad kołyską dziecka, chrzest zbroi rycerskiej i szczęk miecza, hymn wesela i pieśń pogrzebu.

Język, jak zwierciadło, odbił w sobie uczucia narodu, uchwycił je i nadał im kształt.

Jak kamień wapienny przechował w cudownym archiwum ziemi odcisnięte kształty dawno nieistniejących stworzeń i roślin, podobnie język przechował pojęcia, które wyszły już z obiegu, a które pozwalają nam dzisiaj, na podstawie badań lingwistycznych, docierać do najgłębszych pokładów duszy pokoleń minionych.

Za przewodem języka wolno, krok za krokiem, idziemy przez dzieje narodu. Obcujemy z duchem naszych przodków, odnajdujemy w sobie to, co nas z nimi łączy, czujemy się dalszym ich

ciągłem, zdajemy sobie sprawę z nierozzerwalnego związku, jaki istnieje pomiędzy pokoleniami.

Całe przebogate dziedzictwo, które otrzymaliśmy w spadku po tysiącleciach, przenika do naszej świadomości.

Przez język wrastamy w ten świat pojęć i wyobrażeń, jakie wytworzył naród w pochodzie swoim od niemowlęstwa po wiek dojrzały.

Jesteśmy świadkami wszystkich drgań jego duszy, wszystkich jego porywów, wszystkich jego radości i smutków.

Z języka bije ku nam siła i moc, krzepkość i zdrowie, wiara i otucha. Tam ma swoje źródło *nieśmiertelność* narodu.

Język zachował nam i zwrócił Pomorze kaszubskie. Język zachował nam i zwrócił Śląsk Górny. Nie tylko to jednak. Jak wykopaliska, jak stare ławnice i szczątki broni krzemiennej, jak naszyjniki, wydobywane z cmentarzysk prasłowiańskich są dokumentami cywilizacji narodu, tak samo są niemi wyrazy naszego języka.

To nie przypadek, że w polskim wyrazie *dzwon* dźwięczy metal, a w rosyjskim *kołokoł* kołaczę się drewniana kołatka — to różnica dwóch kultur w epoce Mieszka I-go i Włodzimierza św.

To nie przypadek również, iż polski „*sklep*” wyprowadza się od murowanego sklepienia a rosyjska „*ławka*” od ławy drewnianej, na której rozkładano towary.

Porównywanie wyrazów o jednym znaczeniu w różnych językach nieraz odsłania nam także całą tajemnicę różnic psychologicznych, istniejących pomiędzy narodami.

Odrębne ich pojęcia i odrębne poglądy na rozmaite sprawy nigdzie nie uwidoczniają się lepiej, niż w określeniach językowych. Psychologja języków stwierdza to na każdym kroku, a i każdodziennie doświadczenie uczy, że *duszy narodu* niepodobna zrozumieć bez jego języka, a żadnego języka niepodobna posiąść bez odczucia jego *ducha*.

W mowie potocznej używamy często wyrażenia „*duch języka*”. Tkwi w tem wielka prawda. Język posiada istotnie jakby tajemnicze, ożywiające go tchnienie, które przenika go na wskroś, jak duch przenika ciało.

Nie gramatyka i suche jej reguły, ale *poczucie ducha języka* sprawia, że posługujemy się nim umiejętnie.

Poczucie ducha języka może mieć człowiek prosty, niewykształcony i nieraz przewyższa pod tym względem człowieka wykształconego. Lud polski ma to poczucie w stopniu daleko wyższym np. niż inteligencja żydowska w Polsce, która usiłuje mówić poprawnie, według gramatyki, a pomimo to popełnia błędy i często jest w rażącym rozdzwieku właśnie z duchem języka.

Przedział rasowy, odmienna, niearyjska bu-

dowa duszy i mózgu okazały się tu przeszkodą nie do zwalczenia.

Prowadzi nas to do wniosku, że tylko dusza polska i umysłowość polska odgadnąć i ogarnąć mogą wszystkie tajemnice języka.

I one jednak, jeżeli chcą to osiągnąć, muszą stać pilnie na straży skarbu, który został im powierzony.

Język ulega bowiem niebezpiecznym wpływom. Groźne zwłaszcza dla niego jest przenikanie wyrazów obcych, które, jak pasorzyty, obsiadają go powoli i niszczą.

Wpływów takich uniknąć trudno. Wytwarza je i sprzyja im cywilizacyjna współpraca narodów.

Jest to zjawisko normalne, oparte na wzajemnej wymianie.

Nienormalne natomiast jest zachwaszczanie naszego języka przez germanizmy i rusycyzmy, które pozostały w języku jako osad niewoli i są hańbiącym tej niewoli świadectwem — jakże wymownym i upokarzającym!

Stawia nas to w obliczu niesłychanie doniosłej i pilnej pracy, którą ma przed sobą dom i szkoła, urząd i trybuna parlamentarna.

Kult języka ojczystego, przywrócenie mu jego czystości, jego mocy i zdrowia musi stać się powszechnym w Polsce nakazem, bo *język jest fundamentem kultury narodowej*.

Bez niego o tej kulturze niema mowy. Słowo

bowiem jest, jak już mówiliśmy, wyrazem duszy narodu a bogactwo duszy narodu — to jego kultura. Jakże więc wyrazić tę kulturę, jeżeli zabraknie na to słowa polskiego?

I dlatego trzeba bić w dzwony alarmowe i nawoływać do dbałości o język ojczysty.

Gdzie indziej zrozumiano to już dawniej. Jakież jest kult języka we Francji w żywym i pisanem słowie? Jakież wymagania pod tym względem stawia szkoła średnia, urząd, dziennik, teatr, nawet sala wiecowa!

W Polsce daleko jeszcze do tego. Daleko przedewszystkiem do osiągnięcia równowagi pomiędzy słowem a duchem, do dania duchowi narodowemu odpowiedników w słowie narodowym.

Są to niewątpliwie skutki naszej długoletniej niewoli.

Dusza narodowa polska posiada jeszcze skarby nieodkryte, posiada tajemnice, których język dotychczas nie wyraził.

To, co nie zostało wypowiedziane, może mieć dla narodu większą wartość i kryć w sobie większe siły, niż to, co ma swoją nazwę w słowie. Trzeba więc do wypowiedzenia tego dążyć, trzeba nowego słowa polskiego szukać.

Język żywy kształci się i rozwija nieustannie. Dorobek jego wzbogaca się ciągle. W nauce i w sztuce powstają coraz to nowe pojęcia, które

język musi określać tak, aby nic nie uronić z ich wewnętrznej treści. Język potrzebuje więc sił twórczych narodu tak samo, jak potrzebują ich wszystkie dziedziny życia narodowego.

W łączności z niemi, w ciągłym współdziałaniu z całością wysiłku narodowego w kierunku udoskonalenia duchowego, umysłowego i materialnego życia narodu język musi pracować i tworzyć.

Zadanie swoje spełni on dopiero wówczas, kiedy wszyscy co do jednego zrozumiemy, czym jest dla nas *słowo* ojczyście, ukochamy je głęboko i uczynimy z niego *palladium* nietykalne.

Jest to zasadniczy problemat kultury narodowej. Zaczyna się ona od kultury języka i bez tej podwaliny o żadnej nadbudowie mowy być nie może.

Dzisiaj ogromna większość narodu polskiego stoi jeszcze poza obrębem należytej oceny wartości języka, jako środka wzajemnego przenikania się duchowego. Za pomocą języka porozumiewamy się pomiędzy sobą w zakresie potrzeb i spraw życia codziennego. Dusze nasze są jednak dalekie od siebie, często nawet obce sobie. W największych i najdonioślejszych rzeczach nie komunikujemy się jeszcze z sobą, nie rozumiemy się dostatecznie. Całe potężne światy Prawdy, Piękna i Dobra są jeszcze niedostępne dla ludu polskiego, bo nie umie on ich wyrazić, ani wyrażonych przez innych zrozumieć nie może. Mi-

bowiem jest, jak już mówiliśmy, wyrazem duszy narodu a bogactwo duszy narodu — to jego kultura. Jakże więc wyrazić tę kulturę, jeżeli zabraknie na to słowa polskiego?

I dlatego trzeba bić w dzwony alarmowe i nawoływać do dbałości o język ojczysty.

Gdzie indziej zrozumiano to już dawniej. Jakież jest kult języka we Francji w żywym i pisanem słowie? Jakież wymagania pod tym względem stawia szkoła średnia, urząd, dziennik, teatr, nawet sala wiecowa!

W Polsce daleko jeszcze do tego. Daleko przedewszystkiem do osiągnięcia równowagi pomiędzy słowem a duchem, do dania duchowi narodowemu odpowiedników w słowie narodowym.

Są to niewątpliwie skutki naszej długoletniej niewoli.

Dusza narodowa polska posiada jeszcze skarby nieodkryte, posiada tajemnice, których język dotychczas nie wyraził.

To, co nie zostało wypowiedziane, może mieć dla narodu większą wartość i kryć w sobie większe siły, niż to, co ma swoją nazwę w słowie. Trzeba więc do wypowiedzenia tego dążyć, trzeba nowego słowa polskiego szukać.

Język żywy kształci się i rozwija nieustannie. Dorobek jego wzbogaca się ciągle. W nauce i w sztuce powstają coraz to nowe pojęcia, które

język musi określać tak, aby nic nie uронić z ich wewnętrznej treści. Język potrzebuje więc sił twórczych narodu tak samo, jak potrzebują ich wszystkie dziedziny życia narodowego.

W łączności z niemi, w ciągłym współdziałaniu z całością wysiłku narodowego w kierunku udoskonalenia duchowego, umysłowego i materialnego życia narodu język musi pracować i tworzyć.

Zadanie swoje spełni on dopiero wówczas, kiedy wszyscy co do jednego zrozumiemy, czym jest dla nas *słowo* ojczyste, ukochamy je głęboko i uczynimy z niego *palladium* nietykalne.

Jest to zasadniczy problemat kultury narodowej. Zaczyna się ona od kultury języka i bez tej podwaliny o żadnej nadbudowie mowy być nie może.

Dzisiaj ogromna większość narodu polskiego stoi jeszcze poza obrębem należytej oceny wartości języka, jako środka wzajemnego przenikania się duchowego. Za pomocą języka porozumiewamy się pomiędzy sobą w zakresie potrzeb i spraw życia codziennego. Dusze nasze są jednak dalekie od siebie, często nawet obce sobie. W największych i najdonioślejszych rzeczach nie komunikujemy się jeszcze z sobą, nie rozumiemy się dostatecznie. Całe potężne światy Prawdy, Piękna i Dobra są jeszcze niedostępne dla ludu polskiego, bo nie umie on ich wyrazić, ani wyrażonych przez innych zrozumieć nie może. Mi-

ljoncy czekają więc na *słowo*, które obudzi je do wyższego i lepszego życia.

Dzisiaj wrota do wielkiej komuny duchowej pomiędzy nami a milionami naszych współbraci są jeszcze zamknięte. Trzeba je otworzyć szeroko, aby cały naród wyszedł przez nie na światło. Język do tego światła prowadzi.

RELIGJA.

Najpotężniejszym łącznikiem pomiędzy ludźmi są uczucia. Serca, które jednakowo czują, zespalają się silniej i mocniej, niż mózgi, które jednakowo myślą: „Bez serc, bez ducha, to szkieletów ludy”...

Nie rozum też, ale uczucia stanowią o sile naszego przywiązania do ziemi rodzinnej i do języka ojczystego. Rozum może stwierdzić, że świat jest jednakowy wszędzie, że chleb jednakowo smakuje na całej kuli ziemskiej, że miłość jest jednakowo słodka pod niebem północy czy południa. Rozum może nawet uzasadnić, że są ziemie piękniejsze i bogatsze od naszej, języki melodyjniejsze i miłsze dla ucha. Uczucie nie zgodzi się na to nigdy. Zaprotestuje i, jak Pan Tadeusz, przełoży zawsze soplicowską brzozę nad cyprysy i laury wileńskiego ogrodu botanicznego.

Wielka rzeka miłości ojczyzny, która przepływa przez duszę narodu, nie jest też niczem innym, jak połączeniem tych uczuć-strumieni, któ-

re, z rozmaitych źródeł biorąc początek, do jednego zmierzają celu, w jedno spływają łożysko.

Mówić tedy o miłości ojczyzny znaczy to samo, co mówić o uczuciach, które z nas uczyniły naród, które związały nas na zawsze pomiędzy sobą węzłami wspólnych przywiązań.

Obok miłości dla ziemi i języka takim węzłem jest także wspólne nam uczucie religijne, również wrodzone jak i tamte uczucia i również, jak i ono, potężne.

Mieliśmy kiedyś własny świat uczuciowo-religijny, słowiańsko-lechicki, ale świat ten dawno zaginął. Ledwie okruchy i szczątki jego doszły do nas. Nie możemy więc dzisiaj tam szukać źródła naszych uczuć religijnych.

Od wieku X-go religją naszą jest religja rzymsko-katolicka.

I — rzecz znamienna. Kościół rzymsko-katolicki, oparty o zasadę powszechności, z założenia swego międzynarodowy, panujący *urbi et orbi*, stał się dla nas, Polaków, kościołem narodowym.

Związał się tak blisko i nierozzerwanie z polskością, że niepodobna go od niej oddzielić.

Słusznie też powiedziano, że w ciągu tego tysiąclecia, które minęło od czasu, kiedy Mieszko I-szy przyjął chrzest św., „nie Polska stała się katolicką, ale katolicyzm stał się polskim”.

Ta *polskość* katolicyzmu nie ulega żadnej wątpliwości.

Jeżeli dawniej, w wiekach średnich, w okresie walk dzielnicowych, które przed Łokietkiem rozdarły państwo i zniszczyły jego jedność, kościół był jedynym tej jedności wyrazem i, jako czynnik łączący, odegrał poważną rolę w procesie scalania się poszczególnych ziem w potężny organizm państwowy, to w okresie porozbiorowym katolicyzm stał się dla nas puklerzem obronnym, osłoną naszej narodowości i jej ostoją.

Dusza narodu odczuła to swoim instynktem, a uczucie narodowe w latach niewoli tak się zwarło z uczuciem religijnym, że powstało u nas, nieznane gdzie indziej, zjawisko patryotyzmu religijnego. Wszystkie nasze ruchy wolnościowe miały charakter głęboko religijny. Konfederaci barscy byli jakby zakonem, a rok 63-i nie dla poży Matkę Boską umieszczał na swoich chorągwiach bojowych.

Nastroje religijno-polityczne nie są u nas jeszcze dostatecznie zbadane. Nie znamy wszystkich ich motywów psychologicznych, faktem jednak niezbitym jest ich istnienie. Faktem jest że „unarodowiony katolicyzm“ brał udział we wszystkich naszych walkach o niepodległość i związał się niesłychanie mocno z tradycjami tych walk.

Od pięknej, żywej po dziś dzień w duszy narodu, postaci ks. Marka idzie przez całe dzieje porozbiorowe nieskończony łańcuch ofiarnych służ Kościoła i służ narodu—kapłanów polskich,

k którzy świecili przykładem miłości ojczyzny i poświęcenia dla niej.

Bohaterski zgon ks. Skorupki na szanłcach Warszawy w dniu 14-ym sierpnia 1920 roku zamyka tę bogatą galerję, której nie stworzył przypadek, ale którą powołała do istnienia wielka idea.

Ta idea, tak świetnie reprezentowana przez ks. Piotra w *Dziadach*, miała zawsze swoich żarliwych wyznawców wśród duchowieństwa katolickiego w Polsce.

I znów szczególnie uwydatnił to rok 1863-i, który do księgi martyrologji polskiej wpisał liczne nazwiska księży-bohaterów i księży-męczenników.

Jedni z nich walczyli z bronią w ręku, inni ginęli na szubienicach i w kazamatach moskiewskich pod batogami oprawców, jeszcze inni długim korowodem szli na Sybir. Byli wśród nich zwykli księża, byli także i dostojnicy kościoła.

Episkopat polski dał wielokrotnie przykład nieugiętej siły w walce. Imiona Felińskich, Hryniewieckich, Symonów, Cieplaków, Budkiewiczów i Łozińskich weszły nietylko do historii prześladowania Kościoła katolickiego w Polsce, ale także do historii Polski i wrosły w jej karty na zawsze.

A iluż było cichych i ofiarnych a nieznanych nikomu sług wiary Św. i sług narodu, którzy zdobywali się na czyny, nieznane w dziejach

nowoczesnych innych kościołów, podczas zaciętej walki rządu rosyjskiego na Podlasiu i w Chełmszczyźnie z Unją?

Iluz było księży, którzy, kryjąc się po lasach, z narażeniem wolności i życia, przemykając się przez gęsto rozstawione sieci żandarmskie, nieśli ciemionemu ludowi nietylko pociechę religijną, udzielali mu nietylko Sakramentów Św., ale krzepili w nim jednocześnie jego przywiązanie do Polski, umacniali go w poczuciu narodowym, które opierało się ściśle o Kościół katolicki.

Lud polski w przekonaniu swoim tak ściśle połączył przynależność swoją do Kościoła katolickiego z samookreśleniem narodowym, że po dziś dzień nie mówi inaczej, jak „wiara polska“, „wiara ruska“ i „wiara niemiecka“. Nie istnieje dla niego ani prawosławie ani ewangelicyzm w jego różnych postaciach, istnieje tylko „rosyjskość“ lub „niemieckość“ wyznawców tych religij, odgrodzonych od „wiary polskiej“ innym językiem i inną narodowością.

Zespolenie to religji z narodowością doszło do takiej siły w Polsce, że gdziekolwiek na ziemiach dawnej Rzeczypospolitej w okresie ucisku walczył o swoje prawa Kościół katolicki, tam walczyła także współrzędnie z nim o swoje prawa do istnienia uciskana polskość.

Taką manifestacją polskości, prześladowanej w zaborze pruskim w dobie wytężonego *Kulturkampfu*, było jej silne oparcie się o Kościół ka-

tolicki, który stał się obroną i niezdobytą twierdzą, odpierającą długo i skutecznie wszystkie ataki, skierowane przeciw nienawistnej dla Niemców narodowości polskiej. Taką samą manifestacją polskości na Litwie były Kroże.

Biorąc to pod uwagę i ogarniając w całości kształcie rolę, jaką Kościół katolicki odegrał w Polsce od zarania jej dziejów historycznych po dzień dzisiejszy, nie możemy nie uznać w nim potężnego czynnika, który w wytwarzaniu kultury narodowej miał do wykonania swoją część pracy i wykonał ją chwalebnie, stając się niezaprzeczoną kulturą tej częścią, wrośniętą głęboko w zbiorową świadomość narodu.

W jakkolwiek bowiem wdążymy się dziedzinę współczesnych stosunków kulturalnych w Polsce, jakichkolwiek dotkniemy tradycji, sięgających wstecz, spotykamy się tam zawsze z tradycją Kościoła rzymsko-katolickiego, budującego na naszej ziemi nie tylko świątynie Panu Bogu ale i wprowadzającego do tych świątyń *naród*.

I myślę się ci, którzy w łacińskiej liturgji i w zależności naszego Kościoła od Rzymu upatrują jego *międzynarodowość* i radziby przeciwstawić mu kościół *narodowy*, oderwany od Rzymu i posługujący się liturgją polską.

Byłaby to pomyłka, która zemściłaby się właśnie na narodowości, odebrałaby jej bowiem cały bezcenny skarb tradycji, snującej się przez wieki i związanej dalekimi echami na-

wet z prastarym rodzimym naszym obrządkiem słowiańskim. Wsiąkał ten obrządek w pierwszych wiekach naszego chrześcijaństwa wszystkimi porami w katolicyzm polski i uczynił go dziedzicem puścizny, skazanej na zagładę a jednak nie zgładzonej doszczętnie i przechowanej do dnia dzisiejszego w wielu obrzędach kościelnych, zwłaszcza po wsiach polskich.

Gdybyśmy byli w wieku XVI-ym przyjęli reformację z jej uproszczonym obrządkiem — byłibyśmy dzisiaj z pewnością ubożsi o niejedno czyste i piękne uczucie, które ma swoje źródło w obrzędowej stronie naszego Kościoła.

Natchnąć nas temi uczuciami i utrzymać je w jednakowem napięciu u szeregu pokoleń mógł tylko kościół *narodowy*.

Międzynarodowość jego, oparta na duchowem braterstwie współwyznawców, a więc na wielkiej i nie podlegającej ze stanowiska ludzkości żadnemu zakwestjonowaniu idei powszechności, która we wspólnej prawdzie widzi rękojmię wspólnego zbawienia wszystkich — nie ujmuje w niczem temu kościołowi na ziemiach polskich jego dobrze nabytych praw i cech narodowych.

Narodowość ta jest rzeczą zupełnie realną. Mówi zaś o niej o wiele wyraźniej niż kościół-instytucja, kościół-świątynia.

Któż z nas, odwiedzając świątynie katolickie w różnych krajach, nie spostrzegł, że pomimo wspólnej tym krajom katolickości, duch, mieszka-

jący w tych świątyniach, jest rozmaity, zależny od narodu, który ową świątynię wzniósł i który tchnął w całe jej urządzenie swoją duszę narodową.

Jakże inne są wrażenia i uczucia, które towarzyszą nam przy zwiedzaniu kościołów katolickich we Włoszech, w Hiszpanji, Francji, Bawarji i t. p.

Czy Nôtre Dame albo katedra kolońska mogą nam zastąpić Wawel albo kościół Panny Marii w Krakowie, gdzie jest tyle naszego, polskiego ducha, tyle przeszłości polskiej, która przywarła do ścian?

Na całym świecie dzwonią dzwony kościelne, ale żaden z tych dzwonów nie ma dla ucha polskiego i dla duszy polskiej takiego dźwięku, jak głos dzwonu Zyguntowskiego.

Na całym świecie jest mnóstwo świątyń daleko większych i daleko piękniejszych od naszych, ale żadna z nich nie ma tej wymowy, jaką posiada dla mieszkańca Warszawy katedra Ś-go Jana, lub kościół Św. Krzyża ze swoim Chrystusem na krążanku.

Na całym świecie są obrazy cudowne, nieraz będące jednocześnie prawdziwemi dziełami sztuki, ale żaden Polak nie patrzy na nie tak, jak patrzy na wizerunek Matki Boskiej Częstochowskiej, albo na obraz Panny, „co w Ostrej świeci Bramie”.

Te naiwne, pozbawione artystycznej wartości,

ikony mają da nas niepożyty urok. Otacza je atmosfera przywiązań i wspomnień, sięgających w odległe lata. Przywarła do nich historia. Opłótła je zielonym bluszczem legenda. Rozpromieniła i opromieniła je poezja.

Ileż utraciłby, jako dzieło sztuki, *Pan Tadeusz*, gdyby mu odjąć tę głęboko wzruszającą, nawskroś polską i dla Polski tylko zrozumiałą inwokację, która zwraca się do dwóch cudownych patronek naszej Ojczyzny?

Jakże zubożałyby wspomnienia naszego dzieciństwa, gdyby nie było w nich obrazu Matki Boskiej Częstochowskiej z mrugającą przed nim lampką oliwną, którą zapalała pobożna ręka naszej matki starodawnym, odwiecznym zwyczajem?

A idźmy teraz do wiejskiego kościoła, do jego prostych, nieraz jeszcze drewnianych i ubogich ścian, zawieszonych bohomazami, a jednak związanych tysiadcem tajemniczych nici z naszą duszą, z naszym wspomnieniem, z tkwiącą w nas tradycją, której czas nie zagłodził.

Czy gdzie indziej są takie kościoły? Czy jest w nich taki nastrój? Czy odprowadzają się *tak samo* roraty, czy śpiewają się *tak samo* gorzkie żale, czy dudnią *tak samo* organy na Wielkanoc, czy pachną *tak samo* zioła polne mocnym, duszącym zapachem, jak u nas w sierpniowe święto Matki Boskiej Zielnej, czy jest tam *taki sam* błękitny dym kadzideł i *taki sam* jęk ludu, upada-

jącego „na twarze przed tak świętym Sakramentem”? Czy równie potężne wrażenie, jak u nas, czyni gdziekolwiek na świecie śpiew suplikacji?

Nigdzie tego niema, bo tylko w polskim kościele wiejskim mieszka dusza ludu polskiego.

I niech mi wolno będzie poprzeć to niezapomnianiem wrażeniem osobistym.

To było podczas najazdu bolszewickiego. Znalazłem się pod wieczór dnia 22 sierpnia 1920-go roku wraz ze sztabem dywizji ochotniczej w Grudusku, wsi kościelnej, położonej przy trakcie pomiędzy Ciechanowem a Mławą.

Na kilka godzin przedtem opuścili tę wieś bolszewicy, chroniąc się do sąsiednich lasów. Nasze oddziały szły za nimi w pościg. 101 pułk piechoty obsaczał ich drogą na Rąbierz i Zawady.

Wieś, pomimo nocy, była na nogach. Na placu przed kościołem płonęły ogniska, biwakowali żołnierze. W pustym dworze stał sztab.

Nocleg miałem na plebanji, gdzie przytulił się również bezdomny chwilowo właściciel Gruduska. Opiekował się nami proboszcz, który miał tak jeszcze potargane nerwy po przejściach dni ostatnich, że raczej sam wymagał opieki.

Nazajutrz zerwałem się wczesnym rankiem.

To, czego nie widziałem po nocy, zobaczyłem za dnia. Kościół zrujnowany świecił otworami dachu, nie miał całych ścian.

W tym to kościele, do którego wnętrza lało się strumieniami światło letniego, słonecznego dnia, staruszek proboszcz odprawiał Mszę św. Ludu było niewiele. Kilkanaście bab wiejskich, drugie tyle gospodarzy i kilkudziesięciu żołnierzy.

Ubożuchne nabożeństwo trwało niedługo. Po mszy ksiądz odwrócił się od ołtarza i zaintonował: „Święty Boże, Święty Mocny, Święty a Nieśmiertelny“!

Zagrały organy.

Pobożni pochwycili melodię i nagle stało się coś potężnego. Kościół w ruinie zadrżał. Niekrępowana powałą pieśń wydzierała się prosto w niebo. Błaganiem swoim podnosiła się ku Bogu, zebrząc zmiłowania.

W tem otoczeniu, w tym nastroju wojny i obowiziska, było to coś tak głęboko wstrząsającego, że niepodobna było łez otamować. Cisnęły się one do oczu same.

To *Polska* modliła się w tym kościele. To *Polska*, ogarnięta pożarem, wydana na łup obcemu najazdowi, wołała o litość: „od ognia, głodu i wojny zachowaj nas, Panie“!

Wiem to na pewno, że w żadnym innym kraju, w żadnym innym kościele i wśród żadnych innych, daleko jeszcze groźniejszych okoliczności, nie mógłbym doznać równie silnego, jak to, wrażenia.

W tym hymnie była nietylko teraźniejszość. Była w nim cała historia naszego narodu. W tej

skardze brzmiały echa najazdów tatarskich, wojen szwedzkich i kozackich i tylu innych, które trapiły Rzeczpospolitą. To wszystko przecho-
wało się w tej pieśni i wybuchnęło z niej siłą
utajoną, nagromadzoną przez wieki.

To wieki śpiewały.

I nietylko w tej pieśni, ale we wszystkim, co
Kościół katolicki w obrzędach i uroczystościach
swoich przechował, tkwi niezniszczalna i nie-
śmiertelna polskość, od X-go wieku związana
ściśle z tem, co Kościół dawał Polsce, a dawał
jej niemal wszystko w zakresie życia kultural-
nego i obyczajowego, bo wszystkiemi drogami
wchodził w to życie i ogarniał je w całości, nie
przeocząc żadnej dziedziny.

Stąd kościół odgrywa dzisiaj jeszcze tak ol-
brzymią rolę kulturalną na wsi polskiej. Jest nie-
tylko świątynią, nietylko miejscem modlitwy
i zabiegów ludzkich o zbawienie duszy, ale szkołą
kultury w najszerszem tego słowa znaczeniu.

Jak dawne opactwa Cystersów i Benedyktynów na ziemi naszej były nietylko azylami kła-
sztornemi, ale ośrodkiem kultury zachodnio-euro-
pejskiej, które promieniowały z nich na dwór
szlachecki i na chatę wiejską, tak samo bezmała
jest i dzisiaj jeszcze.

Jak dawny braciszek z zakonu Cystersów uczył
Polaków zakładać ogrody, szczepić drzewa owo-
cowe, ulepszać uprawę roli, a benedyktyn bu-
dził w nich zamiłowanie do ksiąg i pisma, tak

dzisiaj niejedyn proboszcz wiejski jest na swoim duszpasterskim stanowisku krzewicielem oświaty i kultury. Przypomnijmy sobie tylko wieś kościelną Lisków.

Jeden człowiek, jeden kapłan polski, duchem inicjatywy obdarzony, wytrwały i pracowity, w ciągu lat 20-tu zdołał przeistoczyć zapadły kąt wiejski w oazę, kwitnącą dobrodziejstwami cywilizacji i kultury, zdolną do samodzielnego życia twórczego i torującą nowe drogi ludowi, powołanemu do pracy nad budową odrodzonej Polski.

Budowa ta ma w Kościele katolickim jedną z najtrwalszych swoich podwalin. Usunąć ją — znaczyłoby to osłabić tę budowę u samego jej początku.

Dla tego ciężkim winowajcą wobec narodu i jego przyszłości jest agitator, otumaniający lud nieuczciwym frazesem o spółce „panów i księży”, w których interesie leży jakoby ciemnota warstw upośledzonych, a to dla łatwiejszego panowania nad nimi i bezkarnego ich wyzysku.

Tylko świadoma zła wola i świadome szkodnictwo społeczne mogą coś podobnego szerzyć tam, gdzie wspólny wysiłek wszystkich warstw w narodzie ma wspólny interes w dźwiganiu państwa, wzmacnianiu jego potęgi i wzroście jego znaczenia gospodarczego i politycznego.

Jeżeli zaś wzrost tej potęgi nie idzie dzisiaj tak szybko, jakbyśmy tego pragnęli, jeżeli uwstecz-

nienie naszego narodu jest większe w porównaniu z innemi — to nie w Kościele i w religijności naszego ludu leży przyczyna tego, ale w braku ludzi, którzyby Kościół, jako instytucję, i religijność ludu, jako potęgę uczuciową, umieli umiejętnie zużyć, czyniąc z nich motor rozwoju narodowego.

A motor to silniejszy od innych, uczucie religijne jest bowiem źródłem wszystkich czystych i szlachetnych uczuć ludzkich.

Nietylko wszczepia nam ono w duszę najszczytniejszy, jaki jest na ziemi, ideał miłości i poświęcenia aż do ofiary z życia własnego, nie tylko uczy nas heroizmu w stosunku do naszej wiary, jako do prawdy naszego sumienia, ale budzi w nas dążenie do nieustannego doskonalenia się i tęsknotę do urzeczywistnienia „Królestwa Bożego”, to znaczy triumfu ducha nad materją, słowa twórczego nad ciałem.

Stara to prawda, że naród i społeczeństwo z osłabionem uczuciem religijnem łatwiej ulegają w szerokich swoich masach rozkładowi moralnemu, a co za tem idzie także rozkładowi politycznemu, niż narody i społeczeństwa, przywiązane do swojej religji. I to przywiązanie nabiera niesłychanej wagi, skoro zastanowimy się bliżej nad tem, co ono oznacza.

Cóż bowiem jest tysiąc lat katolicyzmu Polski?

Oto łańcuch następujących po sobie pokoleń,

wychowanych w jednej wierze, a więc w jednych tradycjach, w jednej powadze i w jednym pięknie obrzędów, towarzyszących najwyższym momentom życia ludzkiego — narodzinom, zaślubinom i śmierci.

To, że należymy wszyscy od wieków do jednej społeczności kościelnej, że jesteśmy wychowani w zasadach tej samej wiary, która rozpromieniała dusze naszych przodków i czyniła z nich obrońców chrześcijaństwa, a więc obrońców cywilizacji i kultury zachodniej, rozstrzyga o naszej przynależności do tej cywilizacji i do tej kultury w niemniejszej mierze, niż inne tej przynależności przyczyny.

Przez Kościół rzymsko-katolicki weszliśmy w stały i nierozzerwalny stosunek z Zachodem, staliśmy się jego przednią strażą, wysuniętą na Wschód. Jak daleko sięgnął katolicyzm, tak daleko sięgnął Zachód. Granica jego jest tam, gdzie jest granica wpływów Kościoła. Rzuca się to w oczy na kresach polskich, gdzie pochod cywilizacji i kultury zachodniej był pochodem polskości i katolicyzmu. Litwa, a zwłaszcza jej stolica, Wilno, są tego wymownym przykładem.

Sokami rzymskiej cywilizacji żyła przez wieki cała Rzeczpospolita. Zmieszały się te soki z sokami, wytworzonymi przez nas samych, tak dalece, że niepodobna już dzisiaj przeprowadzić ścisłej granicy pomiędzy tem, co jest w nas z pnia

słowiańskiego a tem, co jest romańską na tym pniu szczepionką.

Tak w owocu z szlachetnie rodzącego drzewa nikt nie odnajdzie śladów szczepienia, a jednak inokulacja odbyć się kiedyś musiała.

Tej inokulacji dokonał na duszy polskiej Kościół rzymsko-katolicki i dlatego wrósł on w tę duszę i związał się z nią na zawsze.

Dając nam religję, dał nam podstawy etyczne do rozwoju, stał się dźwignią tego rozwoju i rozbudził w nas potężne uczucie, które, skojarzywszy się w jedno z uczuciem patriotycznym, ocaliło nas przed zagładą.

I kto wie, czy jest na świecie drugi naród, który ma do zawdzięczenia tyle Kościołowi katolickiemu, i le my jesteśmy mu winni.

Zastanowić się nad tem powinien dobrze każdy Polak, zanim przejdzie do porządku dziennego nad sprawami religji i Kościoła w Polsce, których niepodobna oddzielić od spraw cywilizacji i kultury w ich najistotniejszej treści.

DUSZA ZBIOROWA.

Materiał etnograficzny, złożony z ludu lub ludów, zamieszkujących jedno terytorjum i mówiących jednym językiem lub językami pokrewnymi, urasta — jak już mówiliśmy — w naród drogą dorabiania się wspólnych tradycji dziejowych (politycznych, cywilizacyjnych i kulturalnych), które, stanowiąc własność każdej poszczególnej duszy w każdym poszczególnym pokoleniu, w sumie swojej tworzą bogactwo duszy narodu.

Dusza narodu jest więc makrokosmosem w stosunku do mikrokosmosów dusz poszczególnych członków narodu.

Im dusza każdego z członków narodu jest bogatsza, tem bogatsza jest dusza narodu.

I niema większej prawdy ponad powiedzenie mickiewiczowskie: „O ile polepszyście i powiększyście duszę waszą, o tyle polepszyście prawa wasze i powiększyście granice”. Albowiem *Ojczyzna* to nie żaden abstrakt, to nie coś objek-

tywnie istniejącego poza nami, jako podmiotami, ale to my sami.

My stanowimy naród polski i nasza obecność na ziemi polskiej czyni z tej ziemi naszą ojczyznę.

Bez nas nie byłoby Polski. Ziemia nasza stałaby się ojczyzną dla innego narodu, który trafiłby na niej przeżyć swoje dzieje i tem przeżyciem związać się z ziemią przez szereg pokoleń.

Dlatego każdy naród broni swojej ziemi, jako podłoża nietylko swojego fizycznego, ale i moralnego istnienia.

Dlatego także każdy naród osiadły pielęgnuje i czci tradycje, czując instynktem, że nic tak nie zespala jego członków pomiędzy sobą, jak wspólne przeżycia, z których tworzą się wspólne potem tradycje.

One to sprawiają, że jesteśmy nastrojeni jakby według jednego kamertonu, że pomiędzy nami istnieje wspólność uczuć i odczuć, które w pewnych momentach wywołują jednakowe odruchy i do jednych świadomych prowadzą czynów.

Mówimy: „naród obudził się do czynu”. Istotnie, budzimy się do czynu my wszyscy. Każdy z nas tego czynu pragnie, a pojedyncze nasze wole, promieniując i zestrzelając się „w jedno ognisko”, stają się *wolą narodu*.

Od istnienia tej woli potencjalnej w narodzie, od siły jej napięcia, od zdolności jej do przetwarzania się w energję kinetyczną, twórczą, zależy rozwój narodu.

Rozwój ten jest wypadkową ideałów, pragnień i dążeń, ożywiających zbiorowość.

Tak zwykle mówimy.

Ale zbiorowość sama przez się nie posiada żadnej siły psychicznej. Siłę tę tworzy treść naszych dusz. Każdy z nas jest tu współczynnikiem. Każdy z nas jest współtwórcą tego, co naród zdobywa lub traci.

Sława narodu spada na nas wszystkich i każda dusza otrzymuje przynależną sobie jej część. Tak samo nieszczęścia narodowe są udziałem wszystkich.

Ten podział *plusów* i *minusów* życia narodowego dokonywa się od stuleci i przechodzi z pokolenia na pokolenie, tak, że wszyscy, żyjący dzisiaj, członkowie narodu są zarówno uczestnikami jego sławy (dobra), jak uczestnikami jego nieszczęść (zła).

Jesteśmy obarczeni dziedzicznie w jednym i drugim kierunku.

Popularnie mówimy, że „umarli rządzą nami”. W życiu narodu znajduje to potwierdzenie na każdym kroku. Czyny pokoleń poprzednich rozstrzygają niejedną kwestję aktualną, co do której mamy złudzenie, że rozstrzygamy ją sami, według naszego widzenia rzeczy.

Logika dziejów jest nieubłagana. Za winy przodków pokutują następcy i, odwrotnie, za sługi przodków gotują pomyślność następcom. Stąd płynie wysoka odpowiedzialność każdego

pokolenia za to, czego to pokolenie dokona. Potomność wzywa pokolenia kolejno na sąd i albo je błogosławi, jeżeli życie i praca ich były twórcze, albo przeklina, jeżeli działanie ich przyniosło narodowi szkody.

Tak błogosławimy pokolenia, które doprowadziły Polskę do rozkwitu, sądzymy surowo te, które pozwoliły na jej upadek, bo nie umiały jej obronić.

Jest to zupełnie usprawiedliwione.

Jeżeli byliśmy w przeszłości państwem wielkiem i potężnem, jeżeli Polsce XVI-go wieku kłaniał się nisko Zachód i Wschód, to dlatego, że przodkowie nasi, założyciele i budowniczo-
wie państwa polskiego, owi dawni Polacy, których „duma i szlachetność” w całym świecie znalazły uznanie, mieli dusze, ożywione pragnieniem rozszerzenia i umocnienia ojczyzny. Ojczyzna ta rozszerzała się i nabierała mocy w miarę rozszerzania się i umacniania ich dusz. Gdyby te dusze były słabe i wątpliwe, gdyby wśród Polaków ówczesnych nie było Bayard'ów na miarę Zawiszy Czarnego z Garbowa, gdyby jednostki myślały wyłącznie o sobie, a niezdolne były do ofiary mienia i krwi na rzecz ojczyzny, jako wspólnego dla wszystkich dobra, to Polska nie osiągnęłaby ani swojej potęgi mocarstwowej ani tego wysokiego rozwoju kulturalnego, który był potęgą tej następstwem, a który zdumiewa nas dzisiaj swoją siłą i dostojnością.

I odwrotnie. Gdyby nie brak jakichkolwiek ideałów wyższych wśród szlachty, jako narodu, w epoce saskiej, gdyby nie egoizm stanowy tej warstwy, która, „jedząc, pijąc i popuszczając pasa“, ugrzęzła w marazmie, gdyby nie jej pacyfizm wówczas, kiedy sąsiedzi zbroili się i łakomie spoglądali na ziemie polskie, państwo polskie nie byłoby w wieku XVIII-ym upadło. Naród dałby odpór najazdowi obcemu i obroniłby swoją niepodległość. Potrójny fakt rozbiorów byłby niemożliwy.

Jest wiele tłumaczeń tego nieszczęścia dziejowego Polski. Wszyscy jednak historycy, i nasi i obcy, godzą się na jedno, że nieszczęście to przyszło w chwili upadku kultury w Polsce. I to jest dla nas ważne.

W rzeczy samej, jeżeli wiek XVII-ty zestawimy z tem, co było w Polsce za Jagiellonów, to stwierdzimy z łatwością upadek na każdym polu — jakby wyraźny odpływ energii twórczej z duszy narodu, niemal jej zanik zupełny.

Minęły nietylko czasy całej plejady świetnych pisarzy Złotego wieku, ale minął również wiek sławnych statystów, w których szeregu Jan Zamoyski był ostatnim. Z nim jakby zstąpił do grobu genjusz polityczny polski.

„Idea jagiellońska“, postawiona od w. XV-go, jako program państwa, a odczuta przez ogół szlachty, jako „misja narodu“, likwidowała się

w przerażająco szybki sposób od śmierci Bato-
rego.

I oto zamiast potężnego Związku państw, się-
gającego od Bałtyku po ciepłe morza południa,
zamiast tej olśniewającej na swój czas koncepcji,
która wyprzedziła o lat 500 głośną naumannow-
ską koncepcję „Europy środkowej“, widzimy
Polskę, kurczącą się w swoich aspiracjach i dą-
żeniach politycznych, uwikłaną w politykę sła-
bości i bierności, odsuwaną lub usuwającą się
dobrowolnie od udziału w rozstrzygnięciu wielkich
zagadnień ówczesnych.

Już sam fakt, że Polska w zaraniu wieku
XVII-go nie wzięła udziału w wojnie trzydzie-
stoletniej, która zamknęła jedną a otworzyła
drugą epokę dziejów europejskich, rzuca światło
ujemne na jej politykę ówczesną.

Państwo polskie, stojąc na uboczu, zachowu-
jąc neutralność i patrząc obojętnie na upadek
Czech po bitwie Białogórskiej, tem samem już
przyczyniło się do wzrostu potęgi Habsburgów
na swoją własną szkodę w przyszłości.

Od tej chwili Jeremiaszowe przepowiednie
Skargi zaczynają się spełniać. Zewnętrzne
i wewnętrzne stosunki Polski psują się. I tu i tam
występuje najaw zgorzel narodu.

Wystarczy wziąć do ręki satyry Krzysztofa
Opalińskiego, aby przekonać się o tem.

Satyrykowi temu zazwyczaj zarzucamy nad-
mierny i nieusprawiedliwiony pesymizm.

Istotnie stan moralny ówczesnego społeczeństwa polskiego wychodzi z pod jego pióra bez jednego światła. Ale nie da się zaprzeczyć, że wszystkie wady i przywary, które wylicza Opaliński, nie były wyssane przez niego z palca. Wiele z nich istnieje dotychczas i wiele z nich ujawniło się natychmiast po odzyskaniu przez naród niepodległości. Moralizujący społeczeństwo publicysta współczesny może pełnemi garściami czerpać z Opalińskiego i nikt go już dzisiaj o przesadę nie pomówi.

Cała więc przesada Opalińskiego polega jedynie na tem, że obok tych wad nie wskazywał on na współzrędnie istniejące z niemi zalety, że wyjaskrawiał i generalizował to, co inni tuszowali i sprowadzali do miary właściwej, rozumiejąc, że dusza narodu posiada i musi posiadać nietylko swoje cienie ale i światła, bo bez światła niema cieniów, że więc prawdy szukać należy przez ich połączenie, a nie przez oddzielenie jednych od drugich.

Że światła te istniały, o tem świadczy nie tylko fakt, że naród potrafił odeprzeć wówczas fale zalewającego Polskę „potopu” kozackiego i szwedzkiego, że przeciwstawił zdradzie Opalińskiego i Radziwiłłów czystą i nie znającą kompromisów ideę Stefana Czarnieckiego, ale również i to, że, znalazłszy się w sto lat potem na rubieży upadku, ocknął się i zrozumiał potrzebę reformy. Za późno, ale rozumiał.

I tu mamy do czynienia z faktem, który znów pozwala nam stwierdzić, jak bliski zachodzi związek pomiędzy kulturą narodu a jego życiem w innych dziedzinach.

Oto ideę Konstytucji 3-go maja oraz ideę walki o „wolność, całość i niepodległość” naród zawdzięczał temu odrodzeniu nauki i literatury, które nastąpiło w epoce stanisławowskiej.

Gdyby nie Konarski, który „odważył się być mądrym”, gdyby nie świetne grono pisarzy stanisławowskich z genialnym biskupem warmińskim na czele, naród polski byłby zginał wraz z państwem polskim.

Tymczasem państwo przestało istnieć, ale naród żył i rozwijał się dalej.

W okresie naszej niewoli politycznej mieliśmy tylko jedno oparcie, jedną ostoję — w kulturze narodowej. Ona wytrzymała wszystkie ciosy i ona obroniła nas przed zupełną zagładą.

Gdyby nie miała w sobie tej siły, w jaką uposażyła ją epoka stanisławowska, gdyby korzenie jej nie tkwiły głęboko w duszy narodu, gdyby przywiązanie tego narodu do wytworzonych przez siebie wartości było mniejsze, nie do odrobienia byłyby następstwa rozbiorów.

Panowanie Augusta III-go, pozornie szczęśliwe, bo zapewniające narodowi pokój i dobrobyt, było w istocie nieszczęściem, którego miarę oceniły dopiero pokolenia późniejsze. I naodwrot — nieszczęśliwe panowanie Stani-

sława Augusta, zakończone tragicznie dla Polski i dla niego, dało narodowi zgola nieprzewidzianą siłę do walki o swoje prawa do odzyskania niepodległego bytu.

Wielkie zwycięstwo, jakie odniosła dusza narodu polskiego na przestrzeni półtorasetletniego zmagania się z obcemi wpływami, jest dziełem kultury narodowej.

Jej siła uczyniła nas wewnątrznie bardziej spoistymi, niż przedtem. Ona scementowała nas w naród nowoczesny. Ona uposażyła nas w oręż nie do odebrania, to znaczy, w te czynniki moralne, za których pomocą mogliśmy skutecznie walczyć z najazdem zbrojnym wrogów nawet wówczas, kiedy nam przemoc ostatni zabrała karabin. Ona wreszcie zmusiła naszych nieprzyjaciół do zrezygnowania czasami z planów i dążeń germanizacyjnych i rusyfikacyjnych.

Nic innego, tylko ten związek wewnętrzny, który istniał pomiędzy nami, jako członkami jednego narodu, ocalił nas.

Gdybyśmy byli, jak owa łoża z bajki, łamani pojedynczo, każdy z osobna w swojej duszy, opór nasz nie byłby tak silny, jak opór dusz polskich, splecionych wspólnem uczuciem w jedną duszę, wytrzymałą na wszelkie zamachy i przeciwstawiającą sile nacisku wrogów jednolitą siłę psychiczną narodu.

Siła ta miała swoje źródło we wspólności łączących nas przeżyć. Te przeżycia, zmagazy-

nowane w naszych duszach, to *owa polskość niezniszczalna, potężna, uprawiająca w zdumienie rządy prześladowcze.*

Ona to sprawiła, że Litwa, w krwi utopiona przez Murawjewa i przydeptana jego butem do ziemi, po latach zapisuje się w dziejach martyrologji polskiej sprawą Krożańską.

Ona wywołała także w Wielkopolsce czyn zbiorowy dzieci wrzesińskich, które przed całym światem zaprotestowały przeciw gwałtowi przemocy pruskiej i zaświadczyły o życiu narodu.

Ona wreszcie w okresie najsurowszych prześladowań rządu rosyjskiego dawała społeczeństwu w Królestwie Polskiem możność odpierania ciosu za ciosem.

Dzięki niej, rusyfikacja spływała z dusz polskich podobnie, jak woda spływa z oliwą natartego ciała. Lata, spędzone w szkole apuchtinowskiej, przymusowe używanie w tej szkole języka obcego, znieprawiająca działalność pedagogów, przysyłanych do naszego kraju z nad Wołgi i Kamy, wszystko to nietylko nie wydało spodziewanych wyników, ale, przeciwnie, wywołało tem żywszą i tem płodniejszą w następstwa reakcję uciśnionej polskości.

Młodzież już na ławie szkolnej organizowała się do walki, biorąc wskazówki od bohaterów narodowych i szukając wzorów dla siebie na męczeńskim szlaku pokoleń poprzednich.

Od konfederatów barskich poprzez wszyst-

kie nasze powstania szła pomiędzy pokoleniami łączność. Czuliśmy się związani zapomocą tradycji ze wszystkim, co było w Polsce szlachetne, górne i zdolne do poświęceń.

Dusza zbiorowa ostatniego pokolenia — tego najszczęśliwszego ze wszystkich pokoleń porobiorowych, któremu przypadło w udziale doczekać wskrzeszenia niepodległego bytu Ojczyzny—ksztaliła się więc i urabiała na bogatym materiale tradycji narodowych i zdobywała wyższy stopień samowiedzy narodowej tam, gdzie świadomość tych tradycji była większa. Była zaś ona większa tam, gdzie kultura głębiej zapuściła swoje korzenie, gdzie rozrastała się i szerzyła swobodnie. Więc wśród warstw inteligentnych narodu. Na te warstwy spadł też w tym okresie cały ciężar walki i lwia część ofiar, jakie naród musiał w tej walce ponosić.

I znów jesteśmy na tropie tego bliskiego, nierozrwalnego związku, jaki zachodzi pomiędzy kulturą narodu a jego życiem, jego zdolnością do życia.

Badając dzisiaj złożony proces naszego zmartwychwstania politycznego, z łatwością dojdziemy do wniosku, że zanim stało się ono faktem fizycznym, było już faktem moralnym w dziełkach tysięcy dusz polskich.

Wynik wojny europejskiej i jej finał — traktat Wersalski — dały tylko sankcję międzynarodową temu, co w narodzie polskim istniało już

na wiele lat przed wojną, jako uzasadniony postulat psychologiczny.

Oglądając się za siebie, widzimy na schyłku wieku XIX-go początek wielkiego ruchu renesansowego w Polsce.

Kultura polska odradza się w tej epoce.

Po depresji, jaka ogarnęła naród, zakuty w potrojne dyby niewoli, przychodzi błogosławiona reakcja. Następuje rozkwit literatury, sztuki i nauki polskiej. Zjawia się szereg wielkich pisarzy i plastyków, których imiona przekraczają granice etnograficzne Polski i dają znać światu o tem, że Polska istnieje, że Polacy są żywym narodem.

Ten wybuch talentów był świadectwem ocknienia się duszy narodu. Zrzucała ona z siebie pęta niewoli, rozkuwała się sama, przeżyła skrzydła do lotu i mierzyła tam, dokąd mierzyły dusze wolnych narodów — równa im, nie gorsza i nie mniejsza od nich.

I od tej chwili stawało się z każdym dniem coraz jaśniejszem i widoczniejszym, że naród, którego drzewo kultury tak kwitnie i owocuje, który rozwija się wszechstronnie i śmiało staje do współzawodnictwa z innemi, już zdobył sobie niepodległość w świecie ducha.

Wielkim manifestem tej niepodległości była twórczość Wyspiańskiego, którego genjusz stanął na granicy czasów odchodzących z nadcho-

dzącemi, aby we wróżebnem jasnowidzeniu ukazać nam zorzę zmartwychwstania.

W Europie nie zdawano sobie z tego sprawy.

Jedne Niemcy nie liczyły się z tym faktem i nie przeoczały rosnącej w oczach lawiny ducha polskiego. Jedna publicystyka niemiecka dzwoniła na alarm z powodu „niebezpieczeństwa polskiego”.

Dla tych, którzy tego nie widzieli, bo nie mieli z duszą narodu bliższego czucia, fakt zmartwychwstania Polski był faktem nieoczekiwanym, owym „cudem”, który olśniewa i zdumiewa oczy.

Tymczasem genjusz dziejów, jak tego uczy doświadczenie, nie improwizuje nigdy swoich wyroków. Przygotowuje on stopniowo narody do wypełnienia ich misji, prowadzi je, zmusza do pracy i wysiłku i niczego nie daje za darmo.

Naród polski nie otrzymał też niepodległości politycznej, jako daru mocarstw, których przedstawiciele zebrali się w Sali Zwierciadlanej pałacu wersalskiego, ale wypracował ją w sobie i zdobył naprzód ofiarą i poświęceniem pokoleń poprzednich, potem wysiłkiem i zasługą pokolenia ostatniego, które rozszerzyło pojemność duszy narodowej i wzbogaciło jej treść nowemi wartościami.

W treści tej jednak pozostały jeszcze poważne luki do wypełnienia i dlatego daleko nam do niezamąconej niczem radości i do zupełnego triumfu.

Przeciwnie, czeka nas jeszcze praca bardzo ciężka i na lata całe rozłożona. I o tem powinien wiedzieć każdy Polak, nie odurzony chwilą i jej nastrojami odświeżnemi.

Dopóki kulturalne dziedzictwo narodu nie zostanie objęte przez wszystkie warstwy, dopóki kultura polska będzie wysoko strzelającym obeliskiem wśród warstw wybranych, a nie prawidłowo wzniesioną piramidą na szerokich podwalinach ludowych — dopóty spocząć nam nie wolno.

Rozlewność kultury stanowi bowiem o jej sile więcej niż wysoki jej poziom.

Szczyty, tonące w obłokach, jeśli nie są dostrzegalne dla mas, przestają odgrywać rolę drogowskazów w życiu. Żeby iść ku nim, trzeba je widzieć, trzeba rozumieć ich potrzebę i cenić ich znaczenie.

A lud polski do tego jeszcze nie dorósł. Nie widzi on, nie zna i nie ceni skarbu narodowego, jakim jest kultura narodu i dlatego w miljonowej masie swojej ciągle jeszcze stoi poza narodem. Tworzy on siłę militarną i podatkową państwa, ale nie jest ani współtwórcą ani spożywcą tych wartości duchowych, bez których życie narodu nie może osiągnąć wyższych szczebli rozwoju, nie może dojść do potęgi i samowiedzy niezatrącalnej.

Niedość jest czuć się na swojej ziemi gospodarzem, niedość jest czuć się nawet jej obywatelem, spełniającym z wolnej woli wszystkie obowiązki i ponoszącym chętnie wszystkie ciężary — trzeba jeszcze duszą wrosnąć w całość życia narodowego, ogarnąć ją i świadomie współdziałać pomnażaniu bogactw niematerjalnych, któremi karmi się dusza narodu. Bogactwo to, nagromadzone przez wieki, wymaga ciągłych zasilen, ciągłych wkładów, aby wiekom jeszcze wystarczyć mogło.

Szlachta polska, która była dotychczas przez nagromadzone w sobie zasoby kultury narodowej jej wykładnikiem nawewnątrz i nazewnątrz narodu — tę rolę swoją reprezentacyjną już skończyła lub kończy. Naród rozrósł się i rozszerzył poza nią. Ściskające go klamry wyłączności stanowej pękły. Do narodu ławą wchodzi lud włościański i robotniczy z dużym zasobem rodzimej tradycji, ale bez wyższej kultury, która tradycjom tym nadaje kształt i polot, przetwarzając je w siłę psychiczną narodu.

W ten sposób *dusza zbiorowa polska* ulega przeobrażeniom. Pojemność jej rozszerza się w oczach, a do nasycenia jej brak tworzywa, dostępnego dla mas, nieprzygotowanych dostatecznie do wchłonięcia w siebie tego, co wyprodukowały na użytek *narodu* szczyty kulturalne w dziedzinie uczucia i myśli.

Stąd pozorne obniżenie się poziomu kultury narodowej w całym społeczeństwie, co jest przedmiotem nieustannych dzisiaj utyskiwań.

Utyskiwania te jednak nic nie pomogą. Zamiast narzekań i biadań, trzeba tak zbudować i zmontować nowoczesną dynamomaszynę kultury polskiej, aby wytwarzała ona dostateczną ilość prądu do naelektryzowania mas.

Dopóki to nie nastąpi, masy te będą poza sferą przyciągania ideałów i dążeń wyższej kategorii, ożywiających elitę narodową.

Porozumienie pomiędzy tą elitą a milionami, należącymi do mrowiska narodowego i krzątającymi się pilnie dokoła codziennej swojej pracy, nie jest możliwe na żadnej innej drodze. A porozumienie to jest niezbędne do tego, abyśmy się stali narodem o wykończonej budowie od podwalin do szczytów.

Cementem, który poszczególne części tej budowy spoi, który uczyni je nierozzerwalnymi i odpornymi na działanie czynników rozkładowych, wrogich narodowi i zmierzających do wypaczenia jego duszy — jest jego własna, rodzima kultura.

Ona zbudowała naszą przeszłość, ona ocaliła nas od zagłady i ona rozstrzygnie o naszej przyszłości.

Masy powinny o tem wiedzieć i organizować

się do pracy i obrony kulturalnej narówni z elitą,
w świadomości, że każda dusza polska jest
częścią duszy zbiorowej narodu, która peł-
nię i rozkwit życia osiągnie nieinaczej,
jak przez pełnię i rozkwit psychicz-
ny jednostki, należącej
do narodu.

KULTURA WSPÓŁŻYCIA.

Jeżelibyśmy chcieli przedstawić graficznie stosunek człowieka do otaczającego go świata i wszechświata, to należałoby to uczynić w szeregu kół koncentrycznych, wykreślonych z jednego punktu.

Tym punktem, z którego wychodzi promień, wydłużający się dla każdego nowego koła, będzie zawsze nasze „ja”. Ono jest tą komórką, w której kształtuje się i rozwija nasze życie wewnętrzne. U człowieka, znajdującego się na niskim stopniu rozwoju duchowego i umysłowego, komórka ta jest szczupła i zamknięta w sobie i dla siebie. Im jednak rozwój ten jest wyższy, tem pojemność naszego „ja” wzrasta.

Wznosi się więc ono stopniowo do pojęcia rodziny, a przekroczywszy granice tego podstawowego związku, rozszerza się i dochodzi do pojęcia społeczeństwa.

W obwodach dalszych kół leżą kolejno: naród, państwo, ludzkość, wszechświat, wreszcie

Bóg, jako Istota najwyższa, ogarniająca wszystko.

Nasze „ja” pozostaje więc zawsze centrum, nawet w stosunku swoim do Boga.

Stąd podstawą i zasadą wszystkich czynów ludzkich jest egoizm.

Ostry w swoich formach u człowieka pierwotnego, egoizm ten z biegiem czasu łagodniał pod wpływem interesów, które zmuszały jednostki do łączenia się w gromady. Interes gromady wymagał wspólnej akcji od zgrupowanych w gromadzie jednostek. Żadna z nich nie mogła już myśleć wyłącznie o sobie. Musiała bezwzględność swojego egoizmu w mniejszej lub większej części składać w ofierze dobru pospólnemu. W ten sposób stało się możliwe współzycie ludzi, zanim jeszcze weszły w grę, właściwe już człowiekowi cywilizowanemu, szlachetne uczucia altruistyczne.

Formy współzycia są wielorakie — od rodziny, przez społeczeństwo, naród i państwo aż do międzynarodowych związków.

Wszędzie ścierają się i walczą z sobą egoizmy ludzkie.

W rodzinie łagodzi tę walkę miłość i przywiązanie przy wspólnym interesie zachowania i obrony ogniska domowego, które żelazne prawo podtrzymania gatunku uczyniło swoją twierdzą.

W społeczeństwie, w narodzie i w państwie, aczkolwiek i tam istnieje ten sam wspólny inte-

res zachowania i obrony, tarcia te są o wiele silniejsze, sprzeczności myśli, dążeń i czynów zgoła czasem jaskrawe.

Doprowadziłyby to mogło snadnie do nieustającej wojny obywatelskiej, gdyby nie kultura współżycia.

Stanowi ona jedno z najżywotniejszych zagadnień kultury wogóle, bez umiejętności współżycia niema bowiem współdziałania, a bez współdziałania niema życia społecznego.

Zorganizowane społeczeństwo, naród, państwo nie są do pomyślenia tam, gdzie ich członkowie idą rozbieżnie, gdzie jeden nie pomaga drugiemu, gdzie wspólny wysiłek nie prowadzi do wspólnych celów.

Zdawałoby się, że dzisiaj mówić o tych rzeczach nie potrzeba, że ludzkość osiągnęła już taki stopień uspołecznienia, że niema w jej obrębie narodu, który potrzebowałby w tym kierunku wskazówek pedagogicznych.

Tak jednak nie jest. Rozpętanie egoizmów jednostkowych i zbiorowych jest jeszcze na świecie tak wielkie, że dużo czasu minie, zanim przestaniemy się wzajemnie zaczepiać, a spotykając się na polu sprzecznych nawet interesów, spotkamy się tak gładko, jak dwie kule bilardowe o wypolerowanej powierzchni, które, uderzając o siebie wzajemnie, krzywdy sobie nie czynią.

Dzisiaj na każdym jeszcze kroku krzywdzimy jedni drugich.

Współżycie nasze stoi pod znakiem walki wewnętrznej i zewnętrznej, co pochłania mnóstwo najlepszych sił społeczeństw współczesnych.

Egoizmy jawne lub zamaskowane, idąc pod osłoną wielkich haseł i idei, egoizmy kapitału i pracy, stanów i klas, narodów i państw, są w ciągłej wojnie z sobą.

Wojna ta nie zna zawieszenia broni. Ale nie o to idzie. Złudzeniem byłoby mniemać, że natura ludzka ulegnie kiedykolwiek zasadniczej zmianie.

Oscar Wilde miał słuszość, mówiąc, że „wszystko na świecie jest takim, jakim jest, i że takim pozostanie po wszystkie wieki”.

Egoizm będzie przeto zawsze motorem zasadniczym wszelkich poczynań ludzkich i kultura współżycia, aczkolwiek oparta o zasadę altruizmu, nie może się łudzić tem, żeby kiedykolwiek starła z oblicza ziemi indywidualne „ja” ludzkie i utopiała je całkowicie w „ja” zbiorowym. Bankructwo ideałów komunistycznych w praktyce jest tego najlepszym dowodem. Tylko człowiek nieskrystalizowany w sobie, a więc nie stanowiący odrębnego świata o określonych granicach, zgodzić się może na szablon komunistyczny, na zniesienie własności indywidualnej i na bezmyślne podporządkowanie wszystkich swoich interesów interesom gromady, czyli w stosunkach współczesnych — tłumowi, pozbawionego mózgu, a kierującego się jedynie potrzebami żołądka.

Kultura współżycia nie walczy przeto z indywidualizmem człowieka, ale szanując go i uznając jego prawa, dąży do nadania koniecznej emulacji interesów pomiędzy ludźmi, stanowiącymi jedno społeczeństwo, jeden naród i jedno państwo, form szlachetnego współzawodnictwa, które nie wyrządza krzywdy interesom zbiorowym.

Uznając, że interes społeczeństwa, narodu i państwa stoi ponad interesem jednostki, żąda ona od tej jednostki nie wyrzeczenia się, ofiary i poświęcenia, jako takich, ale zrozumienia, że to wyrzeczenie się, ofiara i poświęcenie leżą w jej własnym interesie.

Człowiek żyje w społeczności, jest *to zoon politikon*, i jednostka, ażeby mogła osiągnąć pełnię swojego życia, potrzebuje społeczeństwa tak, jak ryba potrzebuje wody, a ptak powietrza.

Kto więc wyrządza krzywdę społeczeństwu, wyrządza tem krzywdę samemu sobie, osłabia bezpieczeństwo i swobodę własną. Kto zaś broni społeczeństwa, narodu i państwa, jako organizacyj do współżycia niezbędnych, broni tem samym siebie, swojego bezpieczeństwa i swobody.

Na zrozumieniu tej zależności jednostki od społeczeństwa, narodu i państwa polega współżycie.

Tam, gdzie tego zrozumienia niema, tarcia pomiędzy jednostkami czy grupami przybierają charakter ostry, burzliwy i niszczycielski, gdzie zaś zrozumienie to istnieje, jaskrawe nawet kon-

flikty rozstrzygają się pokojowo, w drodze wzajemnych ustępstw, popartych przez wzajemną życzliwość.

Życzliwość ta obowiązuje nas przedewszystkiem. Jak życzliwi jesteśmy dla siebie w rodzinie, tak samo życzliwi musimy być względem siebie w społeczeństwie.

Również jako członkowie jednego narodu i obywatele jednego państwa obowiązani jesteśmy do okazywania sobie na każdym kroku pomocy.

Miłość rodaków pomiędzy sobą i ich wzajemna dla siebie życzliwość są kardynalnym postulatem współżycia narodowego.

I nie jest to rzeczą do osiągnięcia trudną. Już sam fakt, że żyjemy obok siebie na jednej ziemi, że tak samo żyli nasi przodkowie i tak samo żyć będą nasi następcy, że mówimy jednym językiem, wyznajemy jedną religię, mamy wspólne tradycje i wspólne ukochania, wspólne cele i dążenia — daje nam świadomość istniejącej pomiędzy nami łączności.

Jesteśmy sobie bliscy krwią serc i treścią naszych dusz.

Z cudzoziemcami mogą nas łączyć interesy materialne, umysłowe, nawet duchowe na szerokim terenie wspólnych wysiłków cywilizacyjnych ludzkości, ale zawsze dzielić nas od nich będzie to wszystko, co łączy nas, jako członków narodu, co stanowi indywidualne cechy naszej

rasy fizycznej i psychicznej, co jest istotą naszej odrębności.

Łączność tę odczuwamy zwłaszcza silnie na obczyźnie. Tam ciągniemy ku sobie, jak opiłki stalowe do magnesu, i grupujemy się dokoła jednej, wspólnej nam wszystkim idei, której na imię Ojczyzna.

Tak w najcięższych chwilach naszego bytu politycznego skupiało się i łączyło nasze, po szerokim świecie rozrzucone, wychodźstwo i, dzięki temu w obcych środowiskach i pod przeważającymi wpływami obcych kultur umiało zachować swoją polskość.

W ten sam sposób jednak, świadomi niebezpieczeństw, na jakie jesteśmy narażeni, świadomi wysokiej odpowiedzialności historycznej wobec pokoleń przyszłych, powinniśmy się łączyć i skupiać dla wspólnych celów u siebie, w domu.

Zgodne współzycie wszystkich elementów obywatelskich, wchodzących w skład naszego państwa, jest nieodzownym warunkiem istnienia i rozwoju tego państwa. Rozdarte na stronnictwa i partje, które zwalczają się wzajemnie i w zaślepieniu tej walki głoszą hasła nienawiści, państwo to nie osiągnie potrzebnej mu mocy wewnętrznej, którą budują tylko ład i porządek, praca i wysiłek. Nie będąc zaś silne wewnątrz, nie będzie ono miało także powagi dostatecznej nazewnątrz. Lekceważyć je będą przyja-

ciele i sprzymierzeńcy, rujnować i niszczyć wrogowie.

I tu dochodzimy do istoty obchodzącego nas zagadnienia.

Kultura współżycia stoi u nas jeszcze na poziomie niskim. Cnota życzliwości wzajemnej jest w upadku. Dokoła nas szaleją egoizmy. W życiu materialnem narodu odbywa się grabież jednych przez drugich. W handlu panuje wyzysk. Spekulacja zabija uczciwe współzawodnictwo. A w życiu społecznem i politycznem dobro narodu cierpi nieustannie wskutek wojny cywilnej, prowadzonej bez rozlewu krwi, ale wyczerpującej naród i gotującej mu przewlekłą i długą chorobę, jaką wywołać musi zatrucie duszy zbiorowej przez nienawiść, nie znającą miary.

Nie jest to zjawisko na naszym terenie naturalne. Jesteśmy narodem, w którego duszy oliwa miłości ojczyzny może zawsze uspokoić najbardziej wzburzone fale. Niechże więc rozlewa się ona dzisiaj szeroko wśród wszystkich warstw, łagodząc konflikty i budząc w każdym z nas świadomość, że ponad jego interesami osobistymi, ponad interesami jego partji czy stronnictwa, stoi zawsze interes narodu i państwa, wymagający umiejętnego współżycia Polaka z Polakiem, niezależnie od dzielących nas różnic przekonańowych.

Wystarczy do tego świadomość, że więcej

jest rzeczy i spraw, które nas łączą, niż tych, które nas dzielią.

Świadomość ta rozstrzyga o kulturze współ-
życia, a stopień jej normuje poziom
tej kultury w narodzie.

WSPÓŁZAWODNICTWO I WSPÓŁ- DZIAŁANIE.

W życiu społecznem działają równolegle dwa zasadnicze prawa — prawo współzawodnictwa i prawo współdziałania.

Wszyscy współzawodniczymy z sobą w pracy o lepsze jej wyniki i to właśnie jest źródłem współdziałania.

Gdyby współzawodnictwa pomiędzy nami nie było, gdybyśmy poprzestali na tem, co posiadamy, a nie pragnęli nowych zdobyczy, ani w dziedzinie ducha, ani w dziedzinie materji, ogarnęłoby nas rozleniwienie i apatja.

Świat przestałby iść naprzód, zabrakłoby mu bowiem ostrogi w postaci tej emulacji pomiędzy ludźmi, która stanowi o postępie.

Bez współzawodnictwa niema przeto postępu. I tak samo niema go bez współdziałania, które wytwarza siłę zbiorową, potęgującą pracę.

Im społeczeństwo stoi wyżej pod względem swojej organizacji wewnętrznej, tem większa istnieje w niem równowaga pomiędzy współzawod-

nictwem a współdziałaniem. Wówczas rozwija się ono normalnie i szybko pomnaża swoje zdobycze na wszystkich polach, kierowane szlachetną ambicją przewyższenia innych swoim dorobkiem.

Na tem tle powstało także wytężone współzawodnictwo pomiędzy narodami, którego świadkami jesteśmy dzisiaj.

Jeżeli przyjrzymy się bacznie stosunkom współczesnym na całej kuli ziemskiej, to spostrzeżemy, że wszędzie odbywa się nieustanna walka. Nie omija ona żadnej dziedziny tak dobrze życia narodowego, jak i życia międzynarodowego. W rolnictwie, w przemyśle, w handlu, w nauce, literaturze, sztuce ścierają się z sobą indywidualne siły społeczeństw i narodów.

Odbywa się to codziennie przy każdym warstacie pracy i stanowi nieodłączną tej pracy atmosferę. Współzawodniczą z sobą idee i teorie, dusze i mózgi ludzkie, mięśnie i nerwy, nawet maszyny.

Tak wygląda życie.

Anglik, Francuz, Amerykanin, Niemiec, gdyby obudził się pewnego dnia bez tej podniety, jaką mu daje świadomość współzawodnictwa, z którym spotyka się na każdym kroku, zarówno w zakresie swoich spraw osobistych, jak i w zakresie interesów swojego społeczeństwa, narodu i państwa, uczułby się zaniepokojonym.

Zabrakłoby mu tej codziennej dawki zbaw-

czego narkotyku, który napręża jego wolę i pobudza jego energję do działania.

Jednocześnie zabrakłoby mu motywu do solidaryzowania się w swoim wysiłku z wysiłkiem innych, do szukania oparcia o siłę zbiorową tam, gdzie jego własna siła nie wystarcza.

W tem położeniu poniekąd my jesteśmy.

Brakiem naszego życia indywidualnego i zbiorowego jest małe poczucie niebezpieczeństwa, płynącego z współzawodnictwa, zwłaszcza na arenie międzynarodowej, a co za tem idzie również małe poczucie potrzeby solidarnej akcji.

Tymczasem położenie nasze geograficzne i polityczne wymaga od nas ogromnego i nieustającego ani na chwilę naprężenia energii w kierunku zachowania samodzielności naszego życia.

Cywilizacyjnie i kulturalnie wyżej stojący od nas Zachód jest współzawodnikiem do zwalczania trudnym. Wytrzymać jednak to współzawodnictwo, a przede wszystkim oprzeć się decydującej przewadze nad nami najbliższych sąsiadów, Niemców, będziemy mogli, jeżeli rozwinie my w sobie dostatecznie ambicje i wolę tego współzawodnictwa.

Jako naród z natury lekkomyślny, grzeszymy często niedocenianiem sił naszych przeciwników. Z drugiej jednak strony, nierównie częściej grzeszymy tych sił przecenianiem. Właściwy nam kult cudzoziemszczyzny sprawił, że łatwo dajemy się wprowadzić w błąd, że przejmujemy się

zbyt gorąco uznaniem dla cudzej wartości, a zamykamy oczy na wartość własną. W wielu dziedzinach prowadzi to do rezygnacji, do opuszczania rąk.

Triumfy materialnej kultury niemieckiej, ład i porządek, panujący w życiu niemieckim, kolosalny rozwój przemysłu i handlu, wreszcie potęga militarna Niemiec były dla wielu Polaków grzechotnikiem, który ich zamagnetyzował.

Zdawało się też niejednemu, że zależność nasza gospodarcza, a czasem i polityczna od tego państwa jest nieunikniona.

Nawet w najwytrwalej bronionych szańcach rozlegał się już tu i owdzie głos rozpacz: „ginimy!” A jednak nie zginęliśmy. Polska zmarłychwstała i stała się żywym organizmem państwowym. Organizm ten musi dzisiaj myśleć o swoim samozachowaniu.

Niebezpieczeństwo współzawodnictwa niemieckiego narazie osłabło, ale nie przestało istnieć. Regeneracja gospodarcza Niemiec postępuje szybciej, niż regeneracja nasza. Siły narodu niemieckiego nie są bynajmniej przez wojnę wyczerpane, odnawiają się i rosną z dnia na dzień. Młode pokolenie dorasta szybko i wchodzi w gotową organizację i tresurę pracy. Ekspansja Niemiec ku Wschodowi jest dla nich kwestją życia, a my stanowimy jedyną barjerę, która krępuje swobodę ich w kierunku bezpośredniego podania ręki Rosji bolszewickiej.

Wniosek stąd łatwy. Czeka nas wytężona walka z Niemcami. Nie orężna, nie krwawa, bo do tej nie dopuści układ stosunków międzynarodowych, ale walka na wartość pracy, na zdolności twórcze i wytwórcze.

Musimy współzawodniczyć i będziemy współzawodniczyli z Niemcami na wielu polach.

Konieczność tego współzawodnictwa widzieć powinien każdy Polak, i każdy powinien rozwijać w sobie ambicję indywidualną i narodową, że do podjęcia tego współzawodnictwa dorósł, że nie jest gorszy od Niemca, że potrafi nietylko dotrzymać mu pola, ale przewyższyć go poło-tem i śmiałością inicjatywy pod niejednym względem.

Są ludzie, którzy się tego współzawodnictwa obawiają dla Polski. Nie wierzą oni w siły własne, ani w siły narodu.

Człowiek jednak głębokiej wiary w naród, Polak, wychowany na ideałach Mickiewicza, który pragnął swój naród „podnieść, uszczęśliwić” i cały świat nim „zadziwić”, powinien zapowiedzieć tej walki nieuniknionej przyjąć radośnie, w tej walce bowiem wykształcą się siły polskie i wyrobiać zdolności polskie.

Ta walka, podjęta na wielorakich polach, zmusi nas także do większego, niż dzisiaj współdziałania z sobą. Będziemy musieli łączyć się i skupiać. Będziemy musieli w życiu gospodarczym stanąć pod chorągwią solidaryzmu, tak, jak sta-

nał oddawna Zachód. Wybryki naszego indywidualizmu pójdą pod strychulec interesu zbiorowego, w tym przypadku interesu narodowego i państwowego, który, prędzej czy później, musi być odczuty nawet przez te czynniki, które interesowi temu przeciwstawiają swój krańcowy egoizm materialny, jak Żydzi, nie poczuwający się do solidarności ani narodowej, ani państwowej z Polakami i działający nazewnątrz na szkodę narodu i państwa polskiego.

Nie przyjdzie to łatwo, ale przyjść musi. Inaczej czekałaby nas porażka, z której może nie podźwignęlibyśmy się już nigdy.

Zwycięstwo jest więc dla nas koniecznością. Współzawodnictwo niemieckie wytrzymać musimy i wytrzymamy.

Wytrzymali je Czesi—naród liczebnie od nas znacznie słabszy, a zdolnościami wcale nas nie przewyższający. Tymczasem, mając tak samo, jak my, o miedzę Niemców i, sami należąc przez trzy wieki do państwa, gdzie żywioł niemiecki był żywiołem panującym, potrafili tak zorganizować swoje życie gospodarcze, że stoją dzisiaj o własnych siłach, że postępują szybko naprzód pod względem ogólnego dobrobytu i kultury narodowej.

Niebezpieczeństwo współzawodnictwa niemieckiego każe im jednak czuwać i myśleć o przyszłości. To też dobrze zrozumiany interes polityczny uczynił z nich naród solidarny, o jed-

nolitym froncie, nie lękający się walki, ale prowadzący ją wytrwale, z uporem i z wyęzieniem wszystkich sił. A gdy czują, że tych sił zamało, szukają oparcia o całą Słowiańszczyznę i apelują do solidarności rasowej przeciw wspólnemu wrogowi.

Takiego samego jednolitego frontu nawewnątrz i nazewnątrz potrzebuje Polska.

Z chwilą, kiedy staje ona jako państwo do współzawodnictwa nazewnątrz swoich granic, kiedy to współzawodnictwo nie dotyczy tylko jej obywateli, ale ściiera się z współzawodnictwem narodu sąsiedniego, zorganizowanego w państwo o doskonale funkcjonującej machinie życia zbiorowego, musi szukać w sobie i wokoło siebie sił współdziałających, musi uznawać solidarność swoich interesów z interesami innych, w podobnym położeniu znajdujących się państw, i musi tym państwom podawać rękę przyjazną i życzliwą.

Stąd związki i przymierza polityczne, jako proste następstwo współzawodnictwa i współdziałania, nieuniknione na arenie międzynarodowej tak samo, jak w życiu wewnętrznym społeczeństwa, narodu i państwa.

PRACA.

Miernikiem i wykładnikiem cywilizacyjnej i kulturalnej wartości każdego narodu jest praca, wykonywana przez ten naród.

Tkwi ona we wszystkim, co naród posiada. Jest sumą wysiłków następujących po sobie pokoleń, z których każde pomnaża otrzymany w spadku dorobek i przekazuje go dalej.

Jeżeli mamy dzisiaj łany ziemi uprawnej zamiast dzikich puszczy, miasta murowane zamiast szałasów i lepianek, i wszystko, co umożliwia nam życie i czyni nas zwycięzcami w uporczywej, odwiecznej walce człowieka z przyrodą, zawdzięczamy to pracy naszych przodków. Ich wysiłek tkwi w tem, co odziedziczyliśmy po przeszłości. Nic nie jest wyłącznie naszą zdobyczą. Wszystko ma swój bardzo odległy początek. Nawet codzienny kawałek naszego chleba, z czego nie zdajemy sobie sprawy, związany jest bezpośrednio przez długi łańcuch pokoleń z pracą pierwszych karczowników i pierwszych oraczów naszej ziemi.

Tak samo jest i w dziedzinie naszego dorobku niematerjalnego. Wszystko, co stanowi nasze bogactwo duchowe i umysłowe, wszystkie nasze uczucia i wierzenia, myśli i porywy, tęsknoty i dążenia mają swój początek w życiu duchowem i umysłem naszych odległych przodków.

Po nich to, drogą nieprzerwanego spadkobrania, dziedziczymy to, co w sumie swojej stanowi treść *duszy narodu*, a co, rozproszone na atomy, jest także treścią duszy każdego z nas.

I tu nic nie dokonało się odrazu i nic nie dokonało się samo, ale rosło i pomnażało się drogą powolnych nawarstwień, drogą pracy i wysiłku każdego poszczególnego pokolenia.

I dusza narodu była kiedyś puszczą, którą należało karczować i przygotowywać mozolnie pod uprawę i zasiew. I w duszy narodu są jeszcze dzisiaj leżące odłogi, zdziczałe pustkowia, które czekają dopiero na pług i ziarno, to znaczy, czekają na pracę, która, poniechana lub niewykonana w czas i z dostatecznym wysiłkiem, domaga się dzisiaj skutecznienia.

Pokolenie obecne i pokolenia przyszłe muszą tę pracę skutecznić, muszą odrobić zaległości, pozostałe w tej dziedzinie po pokoleniach poprzednich, które albo nie umiały, albo w rozleniwieniu swoim nie chciały, jak za czasów saskich, albo, jak za czasów niewoli, nie mogły już pracować z należytem wytężeniem nad pomna-

zaniem cywilizacyjnych i kulturalnych bogactw narodu.

Przeszkoda *niemożności* przestała już dla nas istnieć z chwilą odzyskania niepodległego bytu. Jeśli zaś będziemy dzisiaj *umieli* i *chcieli* pracować na zaniedbanych polach z odpowiednim natężeniem, to zaległości nasze odrobimy. Inaczej, wzrosną one jeszcze bardziej i jeszcze większym ciężarem legną na barkach naszych następców.

Najpierwszem więc zadaniem Polaka, przejętego troską o stan obecny i o przyszłość kultury narodowej, musi być budzenie powszechnej w narodzie chęci do pracy i krzewienie umiejętności pracowania produkcyjnie we wszystkich dziedzinach, zarówno materialnych, jak i niematerialnych.

Lubimy często zestawiać nasze ubóstwo z bogactwem innych narodów. Imponują nam Anglicy, Francuzi, Niemcy, w ostatnich czasach nawet Czesi swoim dorobkiem, który znacznie przewyższa nasz dorobek. Biadamy nad swoim upośledzeniem i uważamy się za pasierbów losu. Zapominamy jednak, lub nie bierzemy dość krytycznie pod uwagę tego, że różnice, jakie zachodzą pomiędzy temi narodami a nami, mają swoje źródło w tem, że suma pracy, wykonanej na przestrzeni wieków przez Anglików, Francuzów i Niemców, przewyższa znacznie sumę pracy, wykonanej przez nas, że tak samo w drugiej po-

łowie XIX-go stulecia, tj. od chwili, kiedy warunki na to pozwoliły, Czesi pracowali znacznie produkcyjniej niż my i dlatego zdystansowali nas na wielu polach.

Zarzut „lenistwa” spotyka nas dzisiaj bardzo często ze strony obcej. „Pracujcie! pracujcie! pracujcie!” słyszymy ze wszystkich stron.

Jest to niewątpliwie dla nas upokarzające, jak upokarzającą jest wogóle kuratela obcych i dawane przez nich narodowi „moralne nauki”, z przeoczeniem często, lub zupełnem niezrozumieniem przyczyn, które wywołały dane zjawisko.

W tym wypadku jednak nie mamy się czem bronić, nie możemy z dumnem i otwartem czołem powiedzieć, że *pracujemy* z całym wysiłkiem, na jaki nas stać i jakiego wymaga od nas odzyskana wolność.

Przeciwnie, musimy przyznać, że w narodzie naszym istnieje dość znaczny odłam obywateli, którzy z wolności skorzystali w ten sposób, iż uczynili z niej puklerz dla próżniactwa. „Wolność próżnowania” stała się dla nich „wolnością obywatelską”.

Fakt ten nie byłby możliwy przy wyższym poziomie kultury wśród warstwy robotniczej. Przerażająco jednak niski poziom kulturalny uczynił te warstwy ofiarą szkodliwej dla narodu i państwa agitacji czynników, dążących nie do wzmocnienia i pomnożenia sił polskich, ale do ich rozkładu.

Podobne czynniki działały także gdzie indziej. Wszędzie jednak napotkały opór. U nas zyskały podatny dla siebie grunt.

Stało się to tak łatwo, że sami nawet nie spostrzeżliśmy, jak i kiedy osunęliśmy się w grzęzawisko, z którego dzisiaj, mimo wysiłku, wydobyć się nie możemy.

Straty nasze są ogromne, bo nie byliśmy narodem bogatym przed wojną. A oto po wojnie, która nie oszczędziła naszej ziemi żadnej klęski, która zrujnowała nasz przemysł i nasze rolnictwo, zniszczyła miasta i wsi, zamiast w siedmiomilowych butach iść naprzód i dorabiać się na nowo, odbudowywać i zagospodarowywać, depczemy w miejscu i oglądamy się naokoło, oczekując skąd i kiedy przyjdzie pomoc. Otrzymywaliśmy ją przez kilka lat od Stanów Zjednoczonych, które karmiły i odziewały nasze głodne dzieci. Otrzymywaliśmy ją i otrzymujemy ciągle od Francji w postaci materiału wojennego. Otrzymujemy ją także skądinąd za drogie pieniądze. Najmniej jednak uczyniliśmy sami w kierunku takiego zorganizowania życia polskiego, aby nie potrzebowało ono pomocy obcej.

Tymczasem w ciągu tych lat kilku Polska powinna była już stać się warsztatem wytężonej pracy na wszystkich polach, wytwórczość jej we wszystkich dziedzinach powinna się była zwiększyć, napięcie jej sił gospodarczych powinno by-

ło podnieść się w trójnasób w stosunku do napięcia poprzedniego.

Tylko bowiem w ten sposób unikniemy ruiny, a co za tem idzie, zagłady w nowej, wzmożonej po wojnie, emulacji narodów.

Już dzisiaj na naszym terenie wytwarza się groźne współzawodnictwo żywiołów obcych z mniej przedsiębiorczym, mniej zdolnym do inicjatywy, a przedewszystkiem mniej pracowitym żywiołem miejscowym. Kraj nasz roi się już od wysłanników kapitału obcego, od „rzeczoznawców”, badających nasze bogactwa leśne, nasze zagłębie węglowe, naszą naftę, ośrodki naszego przemysłu przetwórczego i t. d. Jesteśmy badani, śledzeni, podpatrywani. Każdy szuka tu dla siebie interesu i zysku. I Anglik, i Amerykanin, i Francuz. Skończył się okres frazesów, mówiących o idealnych uczuciach narodu dla narodu, zaczyna się okres współpracy i współzawodnictwa, następuje zadzierzganie się i ścieranie interesów, przyczem każdy będzie dbał nie o nasz, ale o swój interes. Odjechały już dawno filantropijne misje amerykańskie, a na ich miejsce pojawili się twardzi, bezwzględni, zimni w rachunku businessmen'i, wytrzymali i nieznużeni w pracy.

Cóż im możemy przeciwstawić, czemże będziemy zwalczali gospodarczy podbój naszego kraju, jeśli nie pracą, jeśli nie taką jej organiza-

cją, która nie będzie potrzebowała obawiać się współzawodnictwa?

I tu dochodzimy do zagadnienia dla naszej przyszłości najważniejszego — do umiejętności organizacji pracy, t. j. do jej kultury.

Jeżeli potrafimy tę kulturę zdobyć, jeżeli całemu życiu naszemu nadamy tętno i rytmikę równomiernego, codziennego wysiłku — to wówczas nie potrzebujemy się niczego obawiać.

Niestety, chronicznym brakiem, stałem nie-
domaganiem naszego życia jest brak umiejętności organizacyjnych.

Usprawiedliwia nas wprawdzie fakt, że w warunkach, w jakich istnieliśmy doniedawna, wszystko sprzyjało raczej dezorganizacji, niż zaprowadzeniu tego wewnętrznego ładu i porządku, który jest ułatwieniem pracy.

Usprawiedliwian naszych świat jednak słuchać nie będzie, oceniając nas nie według przeszłości naszej, ale według teraźniejszości.

A w teraźniejszości tej, w porównaniu z Zachodem, który przywykł do mrówczego krzątania się milionów, do niesłuchanie sumiennego wyzyskiwania każdej godziny, niemal każdej minuty dnia roboczego, nasza praca stoi pod znakiem lenistwa i apatii.

Ekonomiści stwierdzają zgodnie, że wydajność pracy Polaka w danym okresie czasu jest dwu lub trzykrotnie mniejsza od wydajności pra-

cy Anglika, Francuza lub Niemca w tym samym okresie czasu.

Dotyczy to nas wszystkich—ludzi inteligentnych, pracujących przy biurkach i w zawodach wyzwolonych, robotników rolnych i przemysłowych. Wszyscy mamy na sumieniu jeden i ten sam grzech—grzech owego mularza polskiego, który w ciągu godziny układa trzy razy mniej cegieł, niż mularz francuski.

Powszechność tego zjawiska każe nam szukać powszechnej także jego przyczyny.

Czy jest nią naprawdę lenistwo wrodzone i brak temperamentu?

Doświadczenie wskazuje co innego.

Oto uczy nas ono, że Polak w obcym środowisku staje się wybornym pracownikiem, który nie tylko nie daje się zdystansować, ale prześciga w ochocie do pracy innych.

Polak-robotnik w Ameryce, w Westfalji, we Francji zyskał sobie uznanie pracodawców. Podobnie Polak inżynier, uczony, nawet artysta w obcym środowisku pracuje intensywniej, niż w kraju.

Czemże to się dzieje? Jakież jest cud tych przeistoczeń, jaka ich tajemnica?

Tkwi ona w *rytmie pracy* danego środowiska ludzkiego, w tętnie jego powszedniego dnia.

Ten rytm niepostrzeżenie porywa w swoje tryby każdego, wprzęgą go w wir obowiązku, zmusza do żywszego poruszania się, do dotrzy-

mania kroku tym, co idą obok. Jak na ulicy, kiedy fala ludzka prze naprzód i unosi z sobą przechodnia.

Cała przyroda żyje według zasad ustalonej, choć tajemniczej dla nas, rytmiki. Rytm jest wszędzie i we wszystkim. Słyszy go wrażliwe ucho muzyka w głosach ziemi, powietrza i morza. Chwyta go wrażliwa dusza poety. Ujmuje go i określa ścisły umysł uczonego, który stwierdza, że wszystkie t. zw. w fizyce ruchy harmoniczne, powstające wskutek wiecznego przekształcania się energii statycznej o pewnem stałem napięciu w energję dynamiczną, mają swoją rytmikę. Przecież i pierś nasza wznosi się miarowo w oddechu i serce nasze bije równo, raz szybciej, to znów wolniej, zależnie od fizycznych i duchowych stanów, w jakich się znajdujemy. Podnieceni radością, czujemy przyspieszone jego tętno, znużeni i wyczerpani, odczuwamy, jak ono słabnie.

Jesteśmy więc, nie zdając sobie z tego sprawy, w ciągłej władzy i pod ciągłym panowaniem rytmu wewnątrz i nazewnątrz nas. Wewnątrz wytwarza go obieg naszej krwi, nazewnątrz tętni nim całe otaczające nas życie.

Rytmiczny ruch pociągu kolei żelaznej unosi nas w przestrzeń, rytmiczny furkot pasów transmisyjnych i rytmiczne skandowanie młotów w fabryce upaja nas i podnieca. Nawet pozorny chaos wielkiego miasta, z niemilknącą nigdy jego wrza-

wą, z hałasem i szumem jego ulic, pełnych turkotu, ma swój rytm specyficzny, który oddziaływa na nas. Oszalał na nim przybyły do miasta wieśniak, ale stał się mieszkańcowi stolicy daje tysiące podnieć, nasycę jego głód wrażeń i staje się dla niego niezbędnym, jak narkotyk.

Niektórzy Polacy twierdzą, że jeden dzień pobytu w Paryżu powoduje odczuwalną zmianę w ich obiegu krwi i przyspiesza przemianę materji w ich organizmach. I nie można się temu dziwić. Paryż ma bowiem ten porywający rytm, który daje się odczuwać w całym jego życiu silniej i mocniej, niż w jakimkolwiek innym mieście.

Cudowny rozkład dnia, matematycznie ściśle wyliczenie czasu na pracę, na posiłek, na rozrywkę, na spoczynek—wszystko to powoli chwytając przybysza w swoje samowładne ręce i każe mu żyć tak, jak żyją inni. Kto zaś nie podda się temu prawu żelaznemu—zostaje poza nawiasem, wykoleja się i ginie, jako dożywotnia ofiara wielkich bulwarów, kawiarni i tawern, gdzie Francuz, przyzwyczajony do bezwzględnych dyscyplin pracy, jest tylko przelotnym gościem, a gdzie obozy swe rozbijają na stałe rzesze próżnujących cudzoziemców.

Takiego potężnego, udzielającego się wszystkim i porywającego z sobą, rytmu pracy trzeba

Polsce dzisiejszej, aby mogła sprostać oczekującym ją zadaniom.

Jakże złowrogo na tle tego brzmią uwagi, pisane na marginesach dnia dzisiejszego, a ustalające, że są wśród nas ludzie, którzy wahają się, w obliczu niedoli, spowodowanej przez wojnę, pracować z całym wysiłkiem, którzy, jak mogą, tak się od pracy wymigują i próżnują naprzód godziny, potem dni, potem tygodnie i lata.

Nauka gospodarstwa narodowego oddawna już obliczyła, jak dotkliwą ujmę bogactwu narodowemu przynosi każda przepróżnowana przez jednostkę godzina w ciągu dnia pracy. Godziny te, pomnożone przez liczbę mieszkańców kraju, są już wyrazem strat miljonowych, co w ciągu roku daje miljardy niedoborów, prowadzące naród do bankructwa.

U rubieży tego bankructwa stanęliśmy niedawno, a zbliżało się ono ku nam nieuchronnie nie dlatego, że Sejm nasz, idąc owczym pędem za postulatami socjalizmu, uchwalił ustawę o 8-godzinnym dniu pracy, ale dlatego, że wydajność tej pracy w ciągu godziny jest u naszego robotnika trzy razy mniejsza, niż u robotnika na Zachodzie, że robotnik ten, pozostawiony samemu sobie, bez dozoru, przestaje pracować lub pracuje opieszale, że nie poczuwa się ani do obowiązku pracy, ani do odpowiedzialności obywatelskiej za to, jaką wyrządza tem szkodę całości życia narodowego.

Nie składamy tu bynajmniej winy na barki jednej tylko warstwy robotniczej, *robotnikiem* bowiem w naszym rozumieniu jest każdy człowiek pracujący, niezależnie od tego, czy pracuje w fabryce lub na roli, w kopalni czy przy warsztacie rzemieślniczym, w urzędzie, czy u siebie w domu, w cudzem czy we własnem przedsiębiorstwie, w zależnym czy w wolnym zawodzie.

Mała w stosunku do innych narodów wytwórczość naszej pracy obciąża odpowiedzialnością wszystkich, pozwala uczynić wszystkim zarzut niedostatecznego *wysiłku*, który powinien tkwić w każdym owocu pracy, jako najcenniejszy miąższ jęgo treści.

Bez *wysiłku* nie powstaje nic trwałego i dobrego—ani prosty stołek w warsztacie stolarza, ani dzieło sztuki w pracowni artysty. Przez *wysiłek* bowiem, nie inną drogą, wchodzi do każdej pracy dusza człowieka pracującego, to nieuchwytnie a cudowne tchnienie, bez którego praca jest mechanicznem, bezdusznem wykonywaniem pewnych czynności. *Wysiłek* nadaje jej dopiero cechy twórcze, uszlachetniające. Podnosi ją z nizin przymusu i wiedzy do wyżyn radosnego przewycięzania przeszkód w poszukiwaniu formy, oddającej ideę.

I nie jest prawdą, że tylko *artysta* lub *uczony* może pracować radośnie w poczuciu twórczego swojej pracy charakteru. Pierwiastek bowiem twórczy tkwi w każdej pracy i poczucie twór-

czości może być udziałem każdego, kto pracę swoją pokocha i odnajdzie, tkwiący w niej, głęboki sens życia.

Nie jest też wobec tego słuszny podział pracy na twórczą i nietwórczą, bo siły twórcze narodu mają swój bardziej lub mniej doskonały wyraz nie w poszczególnych tylko dziedzinach, ale w całokształcie życia tej asocjacji, która świadomie, w poczuciu swojego indywidualnego „ja”, stanowi naród.

Naród, jako taki, musi żyć pełnią swoich sił. Musi te wszystkie siły mieć w pogotowiu i wyzwać je ku zaspokojeniu wszystkich swoich potrzeb materialnych i duchowych.

Granica między jednym a drugim nie da się ściśle przeprowadzić.

Zapewne, nauka, literatura i sztuka są potężnymi wykładnikami twórczości narodu, ale twórczość ta zatacza jeszcze poza nimi bardzo szerokie kręgi i wypowiadać się musi literalnie we wszystkim, co dotyczy życia narodu.

Biorąc zaś pod uwagę, że życie, jako zjawisko, nie jest żadną konstrukcją wykończoną, ale tem, co się *staje* z minuty na minutę, co jest w ciągłym ruchu, w ciągłym dążeniu do udoskonalenia, co nie zna nigdy spokoju, wypoczynku, snu, ale zrywa się o każdym świcie do coraz to nowych *wysiłków*, zrozumimy łatwo, jak olbrzymiego wydatkowania sił twórczych wymaga dla siebie ów proces nieustannego budowania

jutra na podwalinach szybko mijającego dnia dzisiejszego.

Bez pierwiastka twórczego nie może się tedy obejść żaden akt woli narodu, żaden czyn, który ma się dokonać, żadna realizacja najbardziej poziomego celu, a więc żadna praca.

Wszystko, cokolwiek dotyczy życia narodu, więc cała rzeczywistość narodu oparta być musi o jego siłę twórczą. I świadectwem tej siły są zarówno biblioteki i muzea, gdzie zgromadziły się skarby myśli i ducha narodowego w postaci dzieł nauki, literatury i sztuki, jak i zewnętrzny czysto wygląd wsi i miast danego kraju, stan jego uprawnych pól, łąk i ogrodów, jego gospodarstwo leśne, jego drogi i mosty, jego koleje żelazne, fabryki i kopalnie, sposób życia jego mieszkańców, ich ubiory, stopień zamożności i t. d., słowem wszystko, w czym tkwi praca.

I jeżeli w krajach obcych imponuje nam niejednokrotnie ów zewnętrzny wyraz ogólnego dobrobytu i kultury, to nie możemy ani na chwilę zapominać o tem, że w tem wszystkim tkwi siła twórcza narodu, który w tym kraju gospodaruje i że aczkolwiek pierwszym źródłem tej siły były niewątpliwie wyższe organizacje duchowe, to jednak ogromna praca, wobec wyników której stajemy w zdumieniu, wykonana była przez zgodny, twórczy wysiłek milionów, wcielających cierpliwie i umiejętnie w życie inicjacje swoich przewodników duchowych.

Zgoła inaczej u nas. Nigdy nie brak nam było światłych inicjatorów życia, zawsze natomiast cierpieliśmy na brak, ożywionych wołą twórczą, wykonawców ich zamierzeń i wskazań. Stąd mamy w naszym piśmiennictwie pomniki niepowszedniego rozumu obok najpłomienniejszego, jakie było kiedykolwiek na świecie, uczucia miłości ojczyzny (Mickiewicz, Słowacki, Krasiński), a w życiu — zanik praktycznego zmysłu budowania tej ojczyzny przez wysiłek twórczy każdej jednostki, świadomie realizującej przypadającą na nią część ideału narodowego.

Zapatrzeni w szczyty podobłoczne, które dla szerokich mas narodu zgoła nie istnieją, bo nie mogą ich one dostrzec w obecnym stanie swojej kultury umysłu i ducha, zapomnieliśmy sami i nie uświadomiliśmy o tem całej rzeszy pracowników, że każdy z nich jest w swojej dziedzinie siłą twórczą narodu; że najprzeciętniejszy obywatel kraju, wszystko jedno, czy będzie to dorobkiewicz, budujący pałac lub kamienicę w mieście, czy chłop, sadzący drzewa dokoła swej chaty i zakładający pierwszy sad we wsi, czy robotnik pilnujący czółenka tkackiego w fabryce łódzkiej — spełnia swoją pracą część pracy narodowej.

Zapomnieliśmy, że kultura narodu nie jest manną, która spada z nieba, aby nakarmić głodnych, ale że wytwarzają ją powoli miliony drgań woli, składających się od wieków na codzienny

wysiłek narodu, podejmowany nie tylko dlatego aby zaspokoić potrzeby życiowe danego pokolenia, ale jednocześnie, aby dać następcom widome świadectwo istnienia tego pokolenia i jego pracy w ojczyźnie i dla ojczyzny w danym okresie czasu.

O pracy twórczej i o wysiłkach twórczych w zakresie budowania Polski w wiekach ubiegłych, mówią nam do dzisiaj istniejące pomniki budownictwa, licznie rozsiane po naszej ziemi: świątynie i zamki, pałace i dwory szlacheckie, kamienice Krakowa, Warszawy, Wilna, Lwowa, Kazimierza nad Wisłą i Sandomierza.

A my? Stoimy wobec ruin i zgłiszcz powojennych. Mamy do odbudowania wszystko, a gnuśniejemy w bezrobociu, jakby czekając na to, aż się wszystko w gruzy rozpadnie*).

Tak dalej być nie może.

Do odbudowy ojczyzny powołani jesteśmy wszyscy. Nie tylko ci, którzy są od tego, aby dawać narodowi idee zapładniające, bo te idee same, choćby były najszczytniejsze, codziennej pracy nie wykonają. One same „tworzyć” życia nie mogą, ale są po to, aby nadawać rozpęd twórczy duszom innym, robotnym, i aby z tych dusz wyzwalać, tkwiący w nich, a może uśpiony, pierwiastek twórczy.

*) Pisane w r. 1921. Od tej pory stosunki uległy znacznej poprawie, aczkolwiek daleko im jeszcze do ideału.

W momencie oczekującej nas pracy powszechnej, nieuniknionej dla naszego ocalenia, wypowiedzieć się musi cała twórczość narodu i wypowiedzieć się winna nietylko przez naukę, literaturę i sztukę, ale przez wszystko, co do życia polskiego należy, co temu życiu nadaje jego własną, indywidualną, narodową postać.

Współtwórcą tego dzieła odbudowy jest każdy, kto swoją własną cegłę z miłością kładzie pod wspólny gmach kultury narodowej, kto bierze za cyrkiel, młot lub kielnię z myślą, że przy pomocy tych narzędzi buduje Polskę, kto promień swojego ducha wplata w najbardziej nawet materialne przedsięwzięcie, bo w życiu narodu duch i materja powinny się łączyć we wspólnym wysiłku twórczym.

Wówczas dopiero na ziemi naszej wytworzy się zgodny i porywający wszystkich rytm pracy.

Dzisiaj zakłóca go i mąci każdy, kto pracuje leniwie, bez wysiłku i bez radości, niewolniczo i pod przymusem. Sam, próżnując, wytrąca innych z pracy, której tętno przerywa się przez to lub nawet zanika zupełnie.

Objaw to ciężkiej choroby społecznej.

Leczyć tę chorobę—to znaczy umiejętnie *organizować pracę* w każdej dziedzinie, sprzęgać poszczególne, rozproszone wysiłki w jeden potężny wysiłek narodu i należycie korzystać ze wszystkich zdolności, ze wszystkich sił, jakie mamy do rozporządzenia.

Dzisiaj tych sił marnuje się u nas bardzo wiele. Praca nasza jest dorywcza raczej i przypadkowa, niż planowa i skoordynowana. Przypomina ona ciągle owo przysłowiowe łatanie dziurawego dachu, na którym przybija się nowy gont wówczas, kiedy deszcz pada, a kiedy przestaje padać, robotę się zawiesza, bo nie zacieka, nie leje się za kołnierz.

Gdziekolwiek okiem rzucić, wszędzie widać w pracy naszej luki i niedociągnięcia. Powstały one, jak już mówiliśmy wyżej, w znacznej mierze w okresie naszej niewoli, przez rozbitcie życia polskiego, przez pozbawienie go tej podstawy normalnego rozwoju, jaką jest wolność polityczna. Z chwilą jednak odzyskania tej wolności tem większy mamy obowiązek pokazania, że rozkute nasze duchy, umysły i ręce potrafią tworzyć i pracować niegorzej od duchów, umysłów i rąk innych narodów.

Niczego nam do tego nie brak. Posiadamy wszystkie warunki nietyko rozwoju, ale i rozkwitu. Mamy kraj bogaty, ziemię niewyjałowioną, złoża mineralne niewyczerpane, położenie geograficzne wyjątkowo pomyślne pod względem gospodarczym. Liczebność nasza jest duża, rąk roboczych mamy dosyć, możność rozwijania wytwórczości we wszystkich kierunkach prawie jeszcze nieograniczoną. Nadewszystko zaś posiadamy lud zdolny.

Robotnik nasz pod względem swojej pojętno-

ści i zręczności nietylko wytrzymuje porównanie z każdym innym, ale przewyższa niejednego ze swoich zagranicznych towarzyszków lotnością umysłu i szybkością orientacji.

Zauważył to był już dawno Francuz, Charles Sainte-Foi (Eloi Jourdain), który bawił w Polsce po roku 1831-ym. Pisze on w swoich „Wspomnieniach młodości”, że „nie można wypowiedzieć dość pochwał o uzdolnieniu i zręczności chłopu polskiego”.

„Biorą go—objaśnia—ze wsi w dwudziestym roku życia od pługą albo od hodowli bydła i mówią mu: „będziesz murarzem” i po miesiącu jest murarzem; innemu znowu: „będziesz siodlarzem, stelmachem czy cieślą”, i jest nim po kilku tygodniach”.

„Mogłem sam — dodaje—zdać sobie sprawę z tej zdolności Polaków: pięciu czy sześciu chłopów polskich, których przywiozłem z sobą (do Paryża), umieściłem w rozmaitych zakładach przemysłowych; wszyscy szybko bardzo porobili postępy i po dwóch miesiącach zarabiali już po dwa do trzech franków dziennie w zawodach, które wymagały rąk zręcznych i delikatnych”.

Od owej pory znacznie poszliśmy naprzód. Posiadamy spory zastęp doskonałych rzemieślników i całą armję wykwalifikowanych robotników. Są to jednak żołnierze bez wodza.

„Wodzem” w tym wypadku jest *organizacja pracy*, jej uporządkowanie i zdyscyplinowanie,

to, co daje taką olbrzymią przewagę Niemcom nad innymi narodami świata.

Gdybyśmy tylko w części posiadali organizację pracy, zbliżoną do niemieckiej, w ciągu kilku dziesiątków lat osiągnęlibyśmy już zdumiewające wyniki.

Tego samego polskiego robotnika umie przecieżyć zaprząć do pracy, wytresować i wykształcić przedsiębiorca amerykański tylko dlatego, że jest albo sam urodzonym organizatorem, albo na czele swojej fabryki postawił specjalistę-organizatora, bo i taka specjalność istnieje w Ameryce.

Są tam ludzie, którzy poświęcili się tylko sprawie organizacji, którzy specjalnie odbywali w tym kierunku studia i którzy angażowani są do wielkich przedsięwzięć tylko czasowo, jako ich organizatorzy.

Nam, niestety, brak takich specjalistów od ekonomji czasu, sił i pracy w każdej dziedzinie i dlatego robotnik nasz, nieujęty w twarde kleścze przymusu organizacyjnego, ciągle wyskakuje z trybów, jak źle nastawione koło.

I znów dotyczy to nie tylko robotnika w przemyśle wielkim. Przeciwnie, tam zmusza go do pilności maszyna, pracująca rytmicznie i nie folgująca ani na chwilę. Gdzie jednak rytm maszyny milknie, gdzie człowiek pracujący sam powinien wytworzyć rytm i zastosować do niego swój wysiłek, praca idzie u nas kulawo, bez na-

leżytego napięcia i nawet bez należytej sumienności.

To też brak organizacji odbija się ujemnie na całokształcie naszego życia. Wszystkie niemal grzechy i błędy, tak częste w naszych urzędach, mają swoje niewątpliwe źródło w złej tych urzędów organizacji.

Podobnie mała wytwórczość w dziedzinie naszej nauki, literatury, nawet sztuki zależy w znacznej mierze od braku należytej organizacji pracy naukowej, literackiej i artystycznej.

Siły duchowe i intelektualne narodu są bezwarunkowo większe, niż jego wytwórczość w tych kierunkach. Ale jakże często te siły marnują się i wykołują, chodząc samopas, nie wprzęgnięte do żadnej organizacji.

To samo jest wszędzie. Na każdym kroku brak organizacji bije w oczy i wprawia w zdumienie przybywającego do nas cudzoziemca, wymustrowanego w pracy, jak żołnierz, który pociemku znajdzie swój karabin i wie w którym szeregu ma stanąć.

A my, słysząc apel, biegamy i kręcimy się wokółko, przeszkadzając jedni drugim. Bo całemu naszemu życiu brak rytmu i organizacji, a przez to brak ładu i porządku.

Przedewszystkiem życie Warszawy, życie tego wielkiego ośrodka pracy polskiej, promieniującego dzisiaj na całe państwo, zamiast wejść po wojnie w określone koleje, zagmatwało się i po-

plątało wskutek, schlebiających doktrynie lub tłumom, uchwał Sejmu lub rozporządzeń komisariatu rządu.

Jest to jedyne chyba większe miasto na świecie, które nie ma ani ustalonych godzin pracy, ani ustalonych godzin posiłku, ani ustalonych godzin snu.

Żyjemy wśród chaosu i wszyscy przeszkadzamy sobie wzajemnie, zamiast pomagać.

I znów przypomina się Paryż z jego uświęconym podziałem dnia, jednakowo obowiązującym prezydenta republiki i zmiataacza ulic. To samo jest w Angli i w Ameryce. Nienaruszalne są godziny południowego *lunch'u* i wieczornego obiadu, nienaruszalne są również godziny rozpoczęcia i kończenia pracy, dla wszystkich jedno i te same, gdy u nas „obowiązuje” niejako rozmaitość. W jednej nawet rodzinie każdy chce lub musi inaczej.

A nie są to rzeczy błahe. *Organizacja* zaczyna się bowiem już w tej komórce społecznej, jaką jest rodzina i dom. Jeżeli tam nie ma ładu i porządku, jeżeli tam rozprzęga się życie, to tem bardziej rozprzęga się ono nazewnątrz, przy wielkim warsztacie pracy narodowej, gdzie każdy ma wyznaczone swoje miejsce i swój obowiązek do spełnienia, do którego spóźnić się nie wolno.

My tymczasem spóźniamy się do każdej pracy stale i zawsze, a tem samem spóźniamy się do

jej owoców, do dobrobytu szerokich mas, do ich kulturalnego przez ten dobrobyt podniesienia, do zagojenia ran, zadanych nam przez wojnę, do odbudowania naszych zrujnowanych domów, do przywrócenia naszemu organizmowi gospodarczemu normalnego obiegu krwi, a tem samem do utrwalenia naszego bytu politycznego i odzyskanej, a opłaconej tak krwawo, wolności.

I nietylko to. Nic tak, jak kultura pracy, nie zapewnia narodowi, żeby „właściwy człowiek stał na właściwym miejscu”, co u nas trafia się rzadko. Ciągłe w tym kierunku pomyłki są wynikiem niedostatecznej znajomości ludzi, powoływanych na stanowiska naczelne, a niewypróbowanych w pracy organizacyjnej, czy wykonawczej, która jest najlepszą szkołą obywatela.

W pracy bowiem mierzą się zdolności, wyrabiają charaktery, tężeją wole i rodzi się to wysokie poczucie odpowiedzialności, bez którego żadnej władzy piastować nie można.

Człowiek istotnej pracy — to człowiek walki upartej, nieustannej, nieznającej spoczynku, a więc człowiek czujny, przezorny, przyzwyczajony do pokonywania przeszkód, zdający sobie dobrze sprawę z tego, że każde pofolgowanie, każde zaniechanie odpowiedniej czynności w odpowiedniej chwili — to strata niepowetowana.

Każdy wie, że ziemia nieuprawiona staje się pustkowiem, porasta chwastami i dziczeje, że sad czy ogród, dokoła którego nikt nie chodzi,

zapuszcza się w ciągu kilku lat, że dom, pozostawiony bez opieki, powoli staje się ruiną, siedliskiem pajaków i puszczyków.

Taką ziemią, takim sadem czy ogrodem, takim domem jest wszystko. Wszystko bowiem potrzebuje starania, opieki i pracy dokoła siebie.

Naród, jeżeli zawiesi na chwilę tylko swoją pracę, zapuszcza się i dziczeje.

Państwo i jego polityka, dobrobyt gospodarczy mieszkańców kraju, ład i porządek społeczny, moralność i religja, piśmiennictwo i sztuka— to nie zdobycze, które można przyswoić sobie, podbierając miód z cudzych ulów, ale to dobra najwyższe, które każdy naród musi w sobie i dla siebie wypracować, w których tkwi wysiłek pokoleń i które pokoleniom następnym muszą być przekazane nie ku roztrwaniu ale ku dalszemu wzbogacaniu i pomnażaniu.

Dlatego praca jest podstawą kultury narodowej. Jej tradycje są tak samo święte i nieodzowne, jak tradycje walk bohaterskich i zwycięstw orężnych. I niedarmo, miecz i pług stoją

obok siebie, jako symbole: obrony
granic przed nieprzyjacielem
i pracy pokojowej.

GNIAZDO RODZINNE.

Wówczas, kiedy na Zachodzie kultura miała trzy ogniska twórcze: dwór panującego, zamek rycerski i dom bogatego mieszczanina, który w miarę rozwoju i wzrostu potęgi stanu trzeciego zyskiwał sobie coraz większą przewagę i w końcu stał się w Niemczech np. czynnikiem dominującym, wyciskającym swoje piętno na kulturze całego narodu, w Polsce kultura narodowa miała właściwie jeden tylko przybytek — dwór szlachecki.

Tam przechowywał się z jednej strony starodawny zwyczaj i obyczaj polski, oparty o bliiski związek z ludem, bezpośrednim tego dworu sąsiadem, tam przesiąkały z drugiej strony te wpływy, które szerzył zamek wawelski i dygnitarjat kościelny, wpływy obce, czerpane ze stosunków z dworami ościennymi i z dworem papieskim.

Naprzód, w średniowieczu, niemieckie, potem w wieku XVI-ym, za obu Zygmunatów, włoskie, potem i aż do końca, francuskie, wpływy te,

przedostając się przez pałace wielkopańskie do zwykłych dworów szlacheckich, ulegały tam przekształceniu, przystosowywały się do atmosfery domu polskiego i, zasymilowane przez ten dom, wzbogacały jego kulturę nowymi pierwiastkami.

Słaby w Polsce żywioł mieszczański nietylko nie odgrywał żadnej roli w wytwarzaniu się i rozwoju kultury narodowej, ale w miarę wzbogacania się i wybijania nawierzch, wyraźnie ciążył ku szlachcie.

Bogatsze rody mieszczańskie, te, z pośród których wyłonił się z biegiem czasu polski patrycjat miejski, liczebnie zawsze słaby i nigdy nie posiadający tego znaczenia, jakie posiadał gdzie indziej—w drugim już i trzecim pokoleniu zatracaly pamięć o swoim pochodzeniu obcem, polszczyły się gruntownie, często zdobywały klejnot szlachecki, osiadały na ziemi i zostawały wchłonięte przez naród, t. j. przez warstwę szlachecką, która sama jedna była wówczas w Polsce narodem.

Nie można się też dziwić temu, że kultura miejska, przeszczepiona na grunt polski z Niemiec, poparta przez prawo magdeburskie i przez język niemiecki, dość długo panujący na ratuszach, nie wytrzymała zgola współzawodnictwa z kulturą szlachecko-ziemiańską, jako rodzimą polską kulturą i ustępowała jej miejsca na każdym kroku, nawet w obrębie rogatek miejskich.

Stąd mamy do czynienia ze zjawiskiem niespotykanem gdzie indziej. Oto, w miarę polszczenia się miast, kultura życia mieszczańskiego stawała się w Polsce coraz bliższą kulturze życia szlacheckiego. Różnice znikwały. Powstał jednolity tu i tam typ kultury *narodowej*, która była kulturą *szlachecką*. Dom polski w mieście i dom polski na wsi miały mnóstwo cech wspólnych, ustalających ich bliskie i nierozzerwalne pokrewieństwo.

Pokrewieństwo to z biegiem czasu nie tylko nie słabło, ale wzmacniało się w miarę, jak. ni-
kły początkowo, udział żywiołu niemieckiego w życiu miast stawał się coraz częstszym i obfitszym.

Ciekawe na to światło rzuca historia tworzenia się i gromadzenia w miastach polskich warstwy przodowniczej, która pod mianem inteligencji zawodowej odegrała i nie przestaje odgrywać wybitnej roli w życiu narodowym.

Inteligencja ta jest w Polsce przeważnie pochodzenia ziemiańskiego. Od wieku XVIII-go, po każdej z katastrof narodowych, szlachta, wyzuta z ziemi, napływała do miast, osiadała tam i wносиła z sobą pierwiastki tradycyjno - kulturalne do życia miejskiego.

Inteligencja ta do dzisiejszego dnia nie zburzała się u nas na sposób i wzór zachodnio-europejski, lecz przeciwnie, jej przykład, jej kultura dziedziczna, jej umysłowość i uczciwość

podniosły znacznie poziom kultury rodowitych mieszczan, wprowadzając ich do elity narodu i czyniąc z nich obywateli na miarę znacznie większą i szerszą, niż to się dzieje tam, gdzie mieszczaństwo, tonąc w bezwzględny materjałizm, nie zna innych ideałów, ponad ideał dobrobytu i użycia.

Jeżeli też porównamy typowe mieszczańskie środowiska Paryża, Londynu, Berlina, Wiednia i innych wielkich miast Europy z podobnemi środowiskami Warszawy, Krakowa, Lwowa, Poznania i Wilna, to przekonamy się, jak znaczne istnieją różnice na naszą korzyść, ile więcej jest myśli i ducha ofiarnego wśród polskiej burżuazji współczesnej, chociaż rozporządza ona znacznie mniejszemi środkami na zaspokojenie swoich potrzeb.

Rzeczą znaną jest nadto fakt, że nawet inteligencja żydowska uległa w ogromnym stopniu wpływom polsko-szlacheckiej kultury, wprowadziła ją do swoich domów, zespoliła się z nią przez zwyczaj i obyczaj i, mimo wyraźnych swoich sympatyj dla kultury niemieckiej, przechyliła się w wyborze ostatecznym raczej na stronę polską.

To wszystko świadczy nietylko o sile tej kultury, nietylko o jej niepożytych zasobach, ale i o jej wyłączności.

Kultura szlachecko-ziemiańska była i jest jedyną kulturą w Polsce. Jej rozpędem żyliśmy i żyjemy dotychczas. Nie możemy jej przeciw-

stawić ani kultury ludowej, bo lud takiej kultury nie wytworzył, przechował tylko w swojej dużej zbiorowej podwaliny przedhistorycznej kultury słowiańskiej, na których to podwalinach stanęła budowa, wzniesiona przez szlachtę—naród. Nie możemy również mówić o kulturze mieszczańskiej w Polsce, bo i mieszczaństwo, jak widzieliśmy, kultury swojej nie wytworzyło, ale przyjęło kulturę szlachecką, jako narodową.

I oto dlaczego interesować nas musi zagadnienie dworu wiejskiego, jako warsztatu tej kultury, jako ogniska, w którym ta kultura powstała, rozszerzyła się i nabrała tej przedziwnej mocy trwania.

Ten dwór zrosł się u nas z pojęciem *gniazda rodzinnego*. Tam rodzina miała swoją przystań i swoją stałą siedzibę. Tam w ściany niemal domu wrastały tradycje, pielęgnowane przez pokolenia. Tam zbiegały się myśli i uczucia, tęsknoty i westchnienia członków jednej rodziny, rozrzuconych po świecie. Tam jednoczyły się serca przy stole wigilijnym i ogrzewały dusze w płomieniach ognia, płonącego na kominku. Tam panowała zawsze słodka, pogodna, aczkolwiek nieraz „zmieniana wypadków strumieniem” atmosfera „kraju lat dzieciennych”, dzwoniąca w pamięci, pod jesień zwłaszcza żywota, jak muzyka świerszczów, ukrytych przed chłodem idącej zimy między modrzewiowemi belkami. Tam,

wśród starych portretów, starych mebli i pamiątek, przechodzących z pokolenia na pokolenie, nawiązywały się cudowne nici tradycji, pielęgnował się zwyczaj i obyczaj polski i budowała się niepostrzeżenie ta twierdza niezdobyta, o której tak pięknie powiedział Sienkiewicz, że nieprzyjaciół, który postanowił zdobyć Polskę, musiał zdobywać ją w każdym domu polskim z osobna, aż wkońcu, widząc bezskuteczność tej walki, ustąpił.

Ogromny złom życia narodowego i ogromny złom poezji, pełnej najcudowniejszych wzruszeń, tkwi jeszcze do dzisiaj w ścianach dworu wiejskiego, mimo, że życie potargało tyle węzłów, łączących nas z przeszłością.

Zrywały się one stopniowo, w miarę, jak dokonywała się u nas przemiana ogólna życia, jak rozpadała się i przekształcała dawna struktura narodu, ustępując miejsca nowoczesnej, na demokratycznych zasadach opartej, jego budowie.

Dwór wiejski, osłabiony wszędzie przez rządy zaborcze, nadwątlony w swoim znaczeniu i stanowisku przez ostry kryzys agrarny, jaki przeżyła warstwa ziemiańska po uwłaszczeniu w Królestwie Polskiem, a znacznie wcześniej w innych dzielnicach, tracił z wolna swoje znaczenie, jako ognisko wytwórcze kultury. Stawał się już tylko spożywcą tej kultury, ustępując z widowni razem z warstwą szlachecką,

która musiała podzielić swoją rolę na arenie społecznej i politycznej z innymi warstwami narodu.

Jednocześnie miasta, jako wielkie zbiorowiska inteligencji, stawały się warsztatami nowoczesnej pracy kulturalnej, opartej na rosnącym ciągle znaczeniu nauki, literatury i sztuki.

Rozwijające się w ich murach przemysł i handel, jako potężne dźwignie dobrobytu, wyciskać zaczęły w tym samym czasie swój stempel na całokształcie życia.

Wchodziło ono w nową fazę. Upodobiło się do życia zachodnio-europejskiego i, „burżuazowało” się na wzór zachodnio-europejski.

Fale tego nowego życia zaczęły iść teraz w kierunku od miast do wsi. „Dwór wiejski” w swoim urządzeniu wewnętrznym i w swojej atmosferze stawał się coraz podobniejszy do mieszkania wielkomiejskiego. Tracił poezję swojej staroświecczyny, zacierał patynę swoich ścian, odnawiał się i modernizował, przechodząc coraz częściej z jednych rąk w inne.

Dawne siedziby rodzin ziemiańskich zmieniały właścicieli, stawały się często siedzibami jednodniowych spekulantów, którzy wnosili tam pojęcie interesu, górującego nad wszystkim. Równolegle do tego odbywał się konieczny proces parcelacji i dwory wiejskie jeden za drugim zaczęły znikać z powierzchni ziemi polskiej. Wreszcie przyszła wojna i płonąca żagiew znisz-

czenia wniosła pod niejeden dach, obracając w perzynę dorobek kulturalny całych pokoleń.

W ten sposób zburzonych zostało wiele „gniazd rodzinnych”, których nikt już i nigdy nie odbuduje. A i tym „gniazdom”, które pozostały, grozi niebezpieczeństwo w postaci następstw, jakie z konieczności sprowadzi za sobą reforma rolna.

Stawia nas to w obliczu zagadnienia, dla kultury polskiej bardzo poważnego.

Jej długowiekowy przybytek przestał lub przestaje istnieć. Dwór wiejski nie będzie już w przyszłości dworem dawnego typu. Przeistoczy się do gruntu, stając się siedzibą farmera, lub doczeka się zagłady zupełnej.

Pytanie, co mu przeciwstawimy, co wytworzyło lub wytworzy życie, na nowych oparte zasadach, musi nas też niepokoić.

Rozważyć je trzeba i trzeba zdać sobie jasno sprawę z tego, czym jest, jak wygląda dzisiaj i jaką ma przyszłość przed sobą „gniazdo rodzinne” w Polsce.

* * *

Kiedy po roku 1864-ym całe szeregi „Pławickich”, „wysadzonych z siodła”, „Pobratyńskich” i innych typów powieściowych znalazły się na bruku miejskim, ich „gniazda rodzinne” przybrały odrazu odmienny charakter.

Szlachta, zdawiendawna osiadła w majątku

rodowym. przyzwyczajona do obszernego dworu, gdzie miała swoje *dominium plenum*, w mieście straciła nagle grunt pod nogami.

Jedne rodziny deklasowały się i proletaryzowały z przerażającą szybkością, inne, o ile wychodziły z ziemi z jakim takim kapitałem, prowadziły jałowe życie, oparte na skromnej rencie.

Rolnicy i myśliwi, jarmarkowicze i facjendarze o tubalnym głosie i swoistych ruchach, grubych karkach i ogorzałych twarzach, zamknięci w „pudełku”, jakim było trzy lub czteropokojowe mieszkanie w kamienicy frontowej lub w oficynie, z widokiem na taką samą kamienicę lub oficynę naprzeciwko, czuli się nieswojo. Nieraz też przenosili „duszę utęsknioną do tych pagórków leśnych, do tych łąk zielonych”, z którymi rozstali się na zawsze wskutek swojej niezaradności gospodarczej, niedołęstwa, życia nad stan oraz niemniej wskutek zasadniczej zmiany konjunktur.

„Pudełko” takie miało jeszcze swój urok, o ile wypełniały je stare meble i pamiątki rodzinne, przywiezione ze wsi do miasta.

Wówczas wraz z niemi do ścian mieszkania miejskiego wchodziła dusza dworu wiejskiego. W większości wypadków jednak „stare graty” zostawiano na wsi, a wnętrza miejskie wypełniano nowomodną tandetą.

Działo się tak zwłaszcza w epoce największej

szego upadku dobrego smaku w Polsce i zupełnego niemal zaniku wrażliwości estetycznej t. j. mniej więcej pomiędzy rokiem 1880-ym a 1890-ym.

Wówczas to ludzie, nawet bogaci, wyzbywali się nagwałt starych urządzeń, a nabywali nowe. Przepyszne Ludwiki, Empire'y i Biedermayer'y, których sporo było po dworach wiejskich i po mieszkaniach warszawskich, dostawały się w ręce handlarzy, szły na Pocieją lub gniły i pleśniały na strychach. Tak zamierały w pamięci pokolenia czasy Stanisławowskie i księstwa Warszawskiego. A jednocześnie w salonach i gabinetach rozpierały się szablonowe, czarne, ordynarnie rzeźbione meble fabrycznej roboty, kryte tłoczonym ponsowym, niebieskim lub zielonym pluszem. Dopełniały całości wiedeńskie, gięte krzesła i miękkie, wyściełane fotele, kanapy i otomany, obijane tanim, „angielskim“ dywanem, wyrobionym w Niemczech.

Mieszkania, umeblowane według tych zasad, traciły swój wyraz indywidualny. Razem ze starymi meblami opuszczała je poezja. Były bezliśnie jednakowe i jednakowo bezduszne. Bliźniaczo do siebie podobne, bo nawet rozstawiano meble według jednych i tych samych kanonów, banalizowały się i wyzbywały dawnych cech wytworności i wyższej kultury. Teraźniejszość wypierała z nich przeszłość i triumfująco ogłaszała swoje niepodzielne panowanie.

Ze ścian znikwały stare sztychy, skwapliwie nabywane przez antykwariuszów, stare portrety i miniatURY ustępowały miejsca rozpanoszonej fotografii „w ramach”. Pustoszały serwantki, szła na sprzedaż porcelana saska, figurki i szkło rżnięte o wysokiej wartości, a „kredensy” wypełniały się niemiecką, austriacką i czeską tandetą.

Obławiali się handlarze starożytności, za bezcen nabywając pasy i tkaniny staropolskie od nieświadomych ich wartości posiadaczy, aby z grubym zyskiem spieniężyć je potem nielicznym w kraju, a licznym zato zagranicą zbieraczom i znawcom.

A książki? Do książek nikt wagi nie przywiązywał. Rozpraszały się i ginęły bezpowrotnie.

Tak obniżała się nietylko kultura wewnątrz ówczesnych, ale obniżał się i spadał cały poziom życia kulturalnego warstwy ziemiańskiej, przeniesionej do miasta.

Ludzie ci, nieprzygotowani do wytężonej walki o byt, do współzawodnictwa, wymagającego nieustannej czujności i rosnącego ciągle wysiłku, otrzymywali ciężką chłostę od losu i zapadali się nieraz w grzęzawicę bez jutra.

Obraz takiego właśnie życia niezrównanemi barwami odtworzył Stefan Żeromski w „Dziejach grzechu”. Z takiego to środowiska ex-zemiańskiego wyszła Ewa Pobratyńska. Tak wyglądało „gniazdo rodzinne” w swojej transfor-

macji miejskiej. Oczywiście, nie można tego uogólniać, ale jaskrawych tego rodzaju faktów nie brak było w Polsce, zanim nie nastąpiło przystosowanie się do nowych warunków i zanim z tej właśnie warstwy, nie wyłoniła się silna i owocnie pracująca dla kraju inteligencja zawodowa.

To wchłonięcie przez miasto i zburzazowanie szlachty bez ziemi miało jednak swoje dobre następstwa.

Dało ono burżuazji polskiej ludzi o silnych tradycjach narodowych, którzy wpływem swoim i przykładem podtrzymywali lub narzucali te tradycje całej warstwie, do której weszli.

Stąd, silny w epoce prześladowań i ucisku, pion narodowy burżuazji warszawskiej, która znów na wzór dworów wiejskich uczyniła ze swoich domów twierdze nie do zdobycia.

O dom rodzinny rozbijały się, jak kra o izbicę, rasyfikacyjne wysiłki szkoły. Atmosfera polska tego domu przeciwdziałała tak silnie deprawującemu działaniu szkoły rosyjskiej w Polsce, że młodzież, wychowana w tej szkole, nie ulegała jej wpływom w takim stopniu, w jakim ulegałyby niewątpliwie, gdyby nie miała silnego oparcia o kulturę rodzimą.

Kultura ta miała swoją ostoję w domu rodzinnym, ale dom rodzinny, w nowych tworzony warunkach, nie mógł już stać się „gniazdem rodzin-

nem". Był „schronieniem” rodziny, ale nie był już jej siedzibą stałą.

Przeszkadzały temu konieczności życia wielkomiejskiego, nigdzie bowiem tak łatwo jak w wielkim mieście nie zatracą się zasada *osiadłości*. Przy jej pozorach współczesny mieszkaniec miasta jest *koczownikiem*, przenoszącym się nieustannie z miejsca na miejsce. Szczególnie jasprawo występuje to najaw w miastach polskich, gdzie na palcach nieledwie policzyć można ludzi, którzy urodzili się, wychowali i spędzili życie w jednym domu, którzy posiadaliby naprawdę własne, nienaruszalne i trwałe „gniazdo rodzinne”, pamiętające dziadów i pradziadów.

Nasze domy rodzinne typu nowoczesnego są raczej „namiotami” przenośnymi. Namioty te rozbijamy i zwijamy zależnie od okoliczności. Raz są one obszerniejsze, to znów szczuplejsze. Raz nabywamy do nich urządzenia, kiedy indziej musimy je zbywać, bo nie mieszczą się w nowej naszej siedzibie. Tak zwane „ruchomości” nigdy też nie były tak ściśle „ruchomościami”, jak są obecnie. Zmieniają one ciągle właścicieli i niemal wyłączoną jest w mieście rzeczą, aby wnuk siadywał w swoim domu na tym samym fotelu, z którego korzystał niegdyś jego dziad.

Wyzuty z sentymentów, praktyczny, zmaterializowany mieszkaniec miasta nie przywiązuje do tego wagi. Głód jego uczuć jest nikły. Nie domyśla się on nawet, jak głęboki sens tkwi

w tem, aby urządzenie domu przechodziło z pokolenia na pokolenie, aby martwe przedmioty, z którymi bezpośrednio w życiu codziennem obcujemy, związane były z nami tradycją i, przesycone wspomnieniami, przypominały nam przeszłość.

W starych zamkach angielskich pokazują turystom stoły, które wrosły w podłogę wskutek tego, że od kilkuset lat nieruszone stoją na jednym miejscu. Byłoby dziwactwem ogłosić podobną zasadę za obowiązującą. Na to mogą sobie pozwolić tylko anglosasi. Ale—z drugiej strony—niepodobna bez ściśniętego serca patrzeć na to, jak w wielkich miastach współczesnych krążą nieustannie wozy, naładowane rupieciami ludzkiemi i jak te rupiecie, coraz to gdzie indziej lokowane, nie mogą zrosnąć się z żadnem miejscem.

Koczuja one, a wraz z niemi koczuja ludzie, w poszukiwaniu coraz to nowiej przystani.

Zmienić w ciągu życia kilkanaście razy mieszkanie, przenosić się z dzielnicy do dzielnicy, z jednej ulicy na drugą, to rzecz u nas zwykła.

Cóż w takich warunkach mogło się stać z „gniazdem rodzinnem“, które przedewszystkiem wymaga dla siebie stałego punktu oparcia? Punkt taki miało ono dawniej w dworze wiejskim. Punktu tego zostało pozbawione w miastach.

I tu docieramy do rdzenia obchodzącego nas zagadnienia. Ciągłość kultury domu polskiego w mieście nie istnieje. To, co zbudowali i zdo-

byli w tym zakresie rodzice, nie jest własnością dzieci. O dziadach i pradziadach niema już mowy. Każde pokolenie zaczyna na nowo. Nie tworzy jednak „gniazda rodzinnego” w przekonaniu i z myślą, że w tem gnieździe gospodarzami będą kiedyś jego zstępni, ale żyje życiem szafasu i jurty, dzisiaj tu, jutro tam, zależnie od okoliczności.

Bolesna tymczasowość ciąży na tych poczynaniach. Brak stałego oparcia, brak tego ogniska, które skupiałoby rodzinę, które członków jednego rodu czyniłoby właścicielami jednych i tych samych wspomnień, osłabia rodzinę współczesną, rozбивa ją na poszczególne, często napół obce sobie, przenośne gospodarstwa i stawia nas wobec perspektywy coraz niebezpieczniejszego dla kultury rozkładu tej komórki społecznej, bez której naród istnieć nie może.

Niebezpieczeństwo to grozi całej ludności miejskiej wszystkim jej warstwom, bo, wyjąwszy kilka rodów arystokratycznych, które posiadają w mieście dziedziczne pałace, koczujemy wszyscy. Koczuje nawet *possessionatus* miejski, właściciel domu, dla którego ten dom jest przedmiotem spekulacji, źródłem dochodu, a nie „gniazdem rodzinnem”, nie siedzibą patrycjusza, z którą go wiąże uczucie.

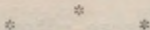
Jeżeli jednak niebezpieczeństwo to jest groźne dla rodzin, które posiadają już pewien dorobek kulturalny, nawarstwiony przez pokolenia, to

o ileż groźniej przedstawia się ono w stosunku do tych elementów społecznych, które kulturę muszą dopiero zdobywać i przekazywać ją swoim następcom.

Bez życia osiadłego, bez „gniazda rodzinnego” jest to niesłychanie trudne do osiągnięcia, człowiek bowiem, nieprzywiązany do własnego kąta, nasyconego pewnemi tradycjami, będzie w mieście tylko przechodniem ulicznym, niczem więcej.

Istotne uobywatelnienie szerokich warstw nie dokona się też równie łatwo na żadnej innej drodze, jak na drodze osiedlenia każdej rodziny rzemieślniczej i robotniczej w oddzielnym, o ile można, *własnym* domu, przechodzącym, jako własność, z ojców na synów. Jest to jeden z najważniejszych problemów kulturalnych i etycznych doby współczesnej.

Narzucił się on już oddawna uwadze innych narodów i doprowadził je do szczęśliwej koncepcji miasta nowoczesnego z dzielnicami ogrodowymi, gdzie dom własny, jednorodzinny, wskrzesza „gniazda rodzinne” i buduje je na nowych podstawach.



Jeżeli dawno już temu Montaigne powiedział, że „człowiek dziki mieszka w lesie, a człowiek cywilizowany w mieście”, to jeszcze dawniej przeciwko miastom, skupiającym w sobie na nie-

wielkiej przestrzeni wielką ilość ludzi, odezwał się gorący protest.

W piśmiennictwie brzmi on od czasów Platona i przewija się przez wszystkie utopje, jakie zjawiły się kiedykolwiek.

„Idealne miasto” chciał stworzyć Tomasz Morus, uważając, że „poza domami, rozlosowywanymi pomiędzy obywatelami co 10 lat, rozciągając się powinny duże ogrody, pielęgnowane z nadzwyczajną troskliwością”.

Podobnie marzył Campanella, każąc rękodzielnikom pracować w kolumnadach, uczonym zaś w górnych krużgankach i łóżach, ozdobionych pięknymi malowidłami.

Cabet każe swoim „lkaryjczykom” dbać o to, ażeby „pożytek łączył się zawsze z wdziękiem”, dlatego też nawet najpośledniejszym budynkom w mieście nadaje wytworność. Lud szczęśliwej Ikarji nie potrzebuje tłoczyć się w muzeach dla obejrzenia dzieł sztuki, lecz ogląda je „w ogrodach i kolumnadach”.

Weitling uważa, iż obok ogródków rodzinnych w mieście przyszłości powinien być jeden wielki ogród, dostarczający owoców dla wszystkich.

Liebknacht w jeszcze różowszem świetle maluje jutro ludzkości.

Znikną—jego zdaniem—z powierzchni ziemi „bastylje pracy”. Znikną „niegodne bydła nory, gdzie dziś żyje większość ludzi i właśnie ci, któ-

rzy społeczeństwo żywią i na swych barkach utrzymują. Znikną niezdrowe, pełne dymów, fabryczne puszcze i trzęsawiska, zwane miastami. Zniknie rozdział pomiędzy miastem a wsią, dzięki zaś udoskonalonym środkom komunikacji ludzie przestaną być niewolnikami odległości i, nie wyrzekając się rozkoszy kultury, będą mogli pędzić życie wśród wolnej przyrody. Powstaną natomiast potężne pałace dla szkół wszelkiego rodzaju—począwszy od ogródków dla dzieci aż do najwyższych—szkoły z przestronnymi ogrodami, boiskami dla gimnastyki i zabaw. Powstaną świątynie sztuki i nauki, teatry, hale koncertowe, biblioteki — rozsiane po całym kraju, aby z nich wszyscy członkowie społeczeństwa mogli korzystać. Powstaną wielkie pałace pracy z rozmównicami, salami dla odpoczynku, dla kultury umysłu i ciała. Powstaną pałace dla obrad przedstawicieli ludu i inne, w których sam lud gromadzić się będzie dla narad. A w oznaczone dni płynąć ku nim będą obywatele i obywatelki państwa przyszłości ze wszystkich części wspólnoty, jak niegdyś Hellenowie na igrzyska olimpijskie".

Jeszcze bardziej ponętnie przedstawia swój „Freiland” najnowocześniejszy z utopistów, Teodor Hertzka.

„Wyobraź sobie—pisze jeden z przybyszów do tego fantastycznego kraju—czarodziejski ogród, zajmujący około stu kilometrów kwadratowych

obszaru, w którym stoją dziesiątki tysięcy miłych, gustownych domków i setki bajecznie wspaniałych pałaców; dodaj do tego odurzającą woń wszelakich odmian kwiatów i śpiew niezliczonych słowików; wszystko to ujmij w ramy krajobrazu, jakiego w większym przepychu i malowniczości nie posiada żadna część ziemi, a będziesz miał słabe wyobrażenie mojego zachwytu nad tem cudownem miastem (Edenthal)".

Wreszcie Paweł Mantegazza w swoim fantastycznym „Roku 3000” stawia wyraźnie zasadę osobnego domu dla każdej rodziny.

„Każda rodzina — mówi on — posiada osobny dom, który można postawić w ciągu jednego dnia, napełniając formę szybko twardniejącym płynem, opornym na ogień i elektryczność”.

Tak ludzkość od niepamiętnych czasów biedzi się nad rozwiązaniem dręczącego ją problemu reformy miasta, jako ośrodka, skupiającego dawniej tysiące i dziesiątki tysięcy, dzisiaj już miliony ludzi.

Miasta tymczasem rosną, potworniej, zamurują się coraz ciśniej i coraz wyżej koszarami i więzieniami dla „wolnych obywateli”, którzy są tam niewolnikami każdego metra kwadratowego przestrzeni, duszą się bez powietrza, chorują i umierają bez światła i słońca, nie widzą nigdy kawałka jasnego nieba nad sobą, nie znają innej natury ponad skwer uliczny lub park miejski. Nadto koczują, koczują, koczują bezustan-

ku, zmieniając norę na norę, więzienie na więzienie.

W takich warunkach nie może być mowy nie tylko o zdobywaniu kultury przez szersze warstwy, ale nawet o jej utrzymaniu przez te warstwy, które ją posiadają.

Zrozumiał to już cały świat cywilizowany. Doniosłe znaczenie moralne i kulturalne domu własnego dla rodziny ujawniło się przedewszystkiem w Ameryce.

W Europie akcja w kierunku tworzenia „miastogrodów” zaczęła się pod koniec XIX-go w. U nas zaledwie kiełkuje. Ale właśnie u nas ma ona przyszłość największą. Nigdzie bowiem dążenie do odbudowy „gniazda rodzinnego” nie jest tak ściśle zespolone z tradycjami narodowymi, jak w Polsce.

Nowoczesny Europejczyk mniej czuje się związany z miejscem. Przeciwnie, bardziej oddany przemysłowi i handlowi, niż my, ceni on nad wszystko swobodę ruchów i łatwość przenoszenia się już nie z miasta do miasta, ale z kraju do kraju.

Wieczny komiwojażer w dziedzinie powodzenia materialnego, niestrudzony poszukiwacz złoto-
tego runa, uważa on coraz częściej, że „ojczyzna jest tam, gdzie jest dobrze”, *ibi patria, ubi bene*.

Polak nie myśli tak i nie będzie tak myślał nigdy. Jego zawsze łączy z ojczyzną głębokie

uczucie. Gdziekolwiek jest na świecie, choćby mu było tam najlepiej, zatęskni zawsze za domem rodzinnym, za wsią czy miastem, gdzie spędził dzieciństwo.

Sentyment ten należy cenić. A jak on jest swoisty kulturze uczuciowej polskiej, o tem świadczy fakt, że nawet Żydzi polscy mają *sui generis* przywiązanie do Polski, jako do swojej ojczyzny.

Cóż więc mówić dopiero o rasowych polskich duszach, w których przywiązanie do ziemi z żywiołową występuje siłą?

I nie może być inaczej u narodu tak jeszcze niemal wyłącznie rolniczego, jak nasz naród, dla którego ziemia jest przedmiotem najwyższego kultu uczuciowego.

Z ziemi wyszedł i szlachcic i chłop polski, do ziemi też jednakowo tęskni w mieście nowoczesnem inteligent i robotnik.

Dajmy jednemu i drugiemu dom z ogrodem w mieście, a zobaczymy, jak to „gniazdo rodzinne” upodobni się kulturalnie do tego, co przekazał nam w puściźnie po sobie dwór wiejski, i co jest żywe do dzisiejszego dnia jeszcze w chacie włościańskiej.

Próbe tego mieliśmy już w przeszłości. Koncepcja „miast-ogrodów” nie jest też dla nas koncepcją nową. Wszystkie nasze miasta i miasteczka doniedawna jeszcze tonęły w zieleni. Pełno w nich było dworów o typie szlacheckim.

Czemże, jeśli nie *garden-city* w Warszawie były Fawory i Żoliborz przedtem, nim uległy zburzeniu? Ileż jeszcze nasze pokolenie pamięta w Warszawie ogrodów i domów o zgoła sielskim charakterze?

To wszystko zniknęło już z widowni, ale pozostała tradycja i pozostało, na tej tradycji oparte, dążenie do posiadłości własnej, do własnego dachu nad głową i do własnego, choćby najmniejszego, kawałka ziemi, dążenie wspólne wszystkim Polakom, którzy nigdy nie zmieszczają tak, żeby im bruk i trotuar miejski do życia wystarczyły.

Tragedją naszą, tragedją specyficzną polską i tylko dla Polaków zrozumiałą, jest rozbrat z ziemią, pozbawienie własnego dachu nad głową i wtłoczenie do komunistycznych koszar, jakimi są kamienice wielkomiejskie.

Dla polskiego indywidualizmu, który lubi być „sobie panem”, który twardo stoi przy swoim „wolność Tomku w swoim domku”, jest to klęska.

Znamiona jej nigdy tak jaskrawo nie wystąpiły najaw, nie zmanifestowały się tak wyraźnie, jak podczas pogwałcenia przez rekwizycję mieszkań prawa nawet do tego surogatu „gniazda rodzinnego”, jakim było mieszkanie w mieście.

Ulegając konieczności, ludzie się z tem pogodzili, ale wewnętrznie protestował każdy przeciwko naruszaniu swojego ogniska domowego

i przeciwko przymusowi współżycia z narzuconym sobie lokatorem.

Jednocześnie nic tak, jak rekwizycja mieszkań, nie udowodniło nam, że nie jesteśmy u siebie i nic tak, jak ustawa o ochronie lokatorów, nie dało nam do zrozumienia, że przywrócony „wolny handel mieszkaniami” może nas jutro z naszych „gniazd rodzinnych” wyrzucić na bruk.

Niema też właściwszego momentu do rozpoczęcia w Polsce wielkiej akcji na rzecz „własnego domu”.

Wbrew apostołom wywłaszczenia i komunizmu, w szerokich warstwach istnieje dzisiaj silniejsza, niż kiedykolwiek, tęsknota do własności, do tych „czterech ścian” nietykalnych, w których obrębie człowiek ma swoje azylum, jest naprawdę „u siebie”.

To prawo do własnej jaskini ma każde zwierzę i broni do niej wejścia zębami i pazurami.

Prawa tego jest dzisiaj pozbawiony mieszkanie wielkiego miasta, wieczny tułacz od suteren do poddasza, wydany na łup spekulującemu kapitałowi, który musi być oprocentowany odpowiednio.

Cóż w oczach proletariatu wielkomiejskiego i nie tylko proletariatu warta jest cywilizacja nowoczesna, skoro nie umiała i nie umie dotychczas zapewnić jednostce i założonej przez nią rodzinie, stałego kąta, która „w imię prawa” eksmituje z mieszkań jednych, aby je oddać innym,

która pozwala na istnienie i wynajmowanie ludziom wilgotnych piwnic, gdzie lęgnie się gruźlica i mieszka wyłamujący kości reumatyzm?

Gdzie jest sumienie tej cywilizacji? Gdzie praktyczne wykonanie jej haseł szczytnych, mówiących o greckiej pełni życia, o pogodzie i słońcu, o radości i szczęściu?

Stoimy na rubieży. Higjena cielesna, duchowa i społeczna wymaga zasadniczego zreformowania miast—już nie w utopijnem marzeniu, ale w rzeczywistości. Czekają nas bowiem, jak już mówiliśmy wyżej, zupełny rozkład rodziny i upadek przez to kultury, jeżeli z jednej strony warstwom, które tworzą dzisiaj i reprezentują życie narodowe, z drugiej tym, które do niego dopływają wieloramiennym strumieniem, nie potrafimy zbudować „gniazda rodzinnego“, gdzie osiadły tryb życia sprzyjałby nawarstwianiu się tradycji i wiązywał z sobą pokolenia najtrwalszym, jaki jest, węzłem pamięci wspólnych przeżyć w otoczeniu, które się nie zmienia z dnia na dzień.

I znów narzuca się nam porównanie z tem, co dał życiu polskiemu w przeszłości dwór wiejski, jako ostoja życia rodzinnego i przybytek kultury narodowej.

Czasy zmieniają się. „Dwór wiejski“ w swoim dawnym charakterze, w swoim dawnym zie-

miańsko-szlacheckim kształcie przeżył się i „żaden cud nie wróci go do istnienia”.

Nie przeżyła się jednak kultura polska, którą on wytworzył i na której zrębach powstały nowoczesne nadbudowy naszego życia duchowego i moralnego.

Jeżeli ma ono silny podkład narodowy, jeżeli oparło się dotychczas i — miejmy nadzieję — skutecznie nadal opierać się będzie rozkładowemu działaniu nurtujących Europę prądów międzynarodowych, to zawdzięczamy to w znacznej mierze bogatym, żywym sokom tradycji, które przechowuje naród w swojej duszy zbiorowej.

Soki te karmią pokolenia i każda nowa warstwa, wchodząc do narodu, wchłania je w siebie i z nich czerpie świadomość swojej przynależności do narodu. Innej drogi do Polski няма.

Robotnik i włościanin czuje się naprawdę Polakiem dopiero wówczas, kiedy ogarnie puścizną uczuciową Polski, kiedy pozna łączność swoją z polską legendą, z polskim rapsodem rycerskim, z polskim czynem dziejowym. Dusza jego rozszerza wówczas swoją pojemność, wychodzi poza granicę czasu i poza ramy egoizmu biologicznego jednostki i wie, że stanowi ogniwo w nierozzerwalnym łańcuchu, którego początek ginie w odległej przeszłości.

Agitator demagogiczny nie przekona już takiego Polaka, że przeszłość Polski była przeszłością „szlachecką”, niedemokratyczną, że

więc dlatego „w imię postępu i demokracji” odwrócić się od niej trzeba.

Przeciwnie, najniżej nawet społecznie stojący Polak, o ile nie jest mu obca tradycja polska, będzie czuł wspólność swojej krwi i wspólność grającej w nim dumy narodowej właśnie z ową szlachtą, właśnie z tym zastępem rycerzy ze stu przesławnych pobojuwisk, którzy w obronie „Ojczyzny i Wiary św.” kładli swoje kości na rubieżach Rzeczypospolitej.

I to rozwiązuje tajemnicę, dlaczego Sienkiewicz swoją trylogią sprawił taki cud „uświadczenia narodowego” w duszy ludu polskiego, mimo, że, wbrew ideałom czasu, pokazał mu tradycję szlachecką, poszedł do niego z Polską XVII wieku, która żyła „prawem i lewem” kazał mu kochać Skrzetuskich i Wołodyjowskich, Zagłobów i Podbipiętów, Kmiciców i Kowalskich.

Pomimo ich herbów szlacheckich nikt ich dzisiaj nie odbierze ludowi, bo stali się oni jego bohaterami, wrosli w jego wyobraźnię, która ich zagarnęła na swoją własność, to znaczy na własność całej Polski, która już nie zna podziału na stany i warstwy.

Taka jest wymowa tradycji narodowej.

Odrębny jej charakter sielsko-rycerski, mimo zmienionych czasów, nie przestał nas ku sobie wabić, nie przestał być wykładnikiem tego, co

w duszy polskiej jest najszlachetniejsze, najczystsze i najtrwalsze.

„Rolnik i żołnierz” tworzyli dzieje Polski „Rolnik i żołnierz” odbudowują dzisiaj wskrzeszone państwo. „Rolnik i żołnierz” rozstrzygną o jego przyszłości.

Wieki wycisnęły na kulturze polskiej ten podwójny stempel, a że wieki uczyniły kolebką kultury narodowej dwór wiejski, przeto tam kołysała się i rosła polska tradycja nie na pokarm tylko dla szlachty, ale na pokarm dla całego narodu.

Tam osiadła i umocniła się rodzina, zastępując godnie dawne słowiańskie poczucie rodowe. Tam stało „gniazdo rodzinne”, o którym szlachta z dumą mówiła, powtarzając za Ciceronem: *hic sarca, hic gens, hic maiorum multa vestigia*. Tam przy ogniu, na którym płonęły wesoło dębowe polana, snuły się opowiadania o bojach i znojach, o czynach rycerskich, o potrzebach znamienitych. Tam szlachcic-republikanin umacniał synów w przywiązaniu do „złotej wolności” i z Plutarchem w ręce nauczał ich cnót obywatelskich. Tam zaprawiała się młodzież do rzeźmiosła rycerskiego. Tam uczyła się gościnności i poloru, dwornych manier i kawalerskiej wytworności, czci dla przodków i pielęgnowania starego zwyczaju i obyczaju. Tam kształtowała się *dusza polska*, wchłaniając w siebie tradycję domową, rodzinną i ojczystą wszystkimi pora-

mi. Tam w czeladnej izbie, przy furkocie kołowrotek, cuda prawiła o wilkołakach i upiorach, pełna fantazji twórczej i odwiecznego zabobonu, przesyciona pierwotnym animizmem, ludowa baśń polska, tam brzmiała pieśń o rycerzach i panach, o „koniku wronym” i Kasi. żałującej Jasia, o wojence i „astrologach”, co gwiazdy liczyli”, aby potem przedostać się do chaty wiejskiej na długowiekowe przechowanie i na świadectwo łączności kulturalnej pomiędzy szlachtą a ludem.

Lud wiejski, *glebae adscriptus*, pomimo całego swego upośledzenia tem silny, że najosiadlejszy ze wszystkich osiadłych w Rzeczypospolitej elementów, niepostrzeżenie przyswajał sobie „odpadki z pańskiego stołu” kultury narodowej i uważał je słusznie za swoją własność.

Ze szlachtą razem modlił się w kościele, ze szlachtą razem odprawiał pogrzeby, ze szlachtą razem ciągnął na wyprawy w charakterze czeladzi i „ciurów” obozowych, ze szlachtą jeździł na jarmarki. Patrzył, przyglądał się i naśladował. Brał w siebie i dobre i złe.

I nie jest zgoła przypadkiem ani psychologiczną niespodzianką fakt, że z chwilą, kiedy chłop polski urósł do czynnika politycznego w kraju, okazał się nie mlecznym, ale rodzonym bratem szlachcica polskiego, że wyrastają w nim i manifestują się te same „polskie” wady, a wy-

rosnąć mogą i doprowadzić państwo do rozkwitu te same „polskie” zalety.

Nie chciał dawniej szlachcic zezwolić na to, aby król posiadał kawałek ziemi w Rzeczypospolitej na własność, bo „choć to piasek”, mógłby na nim—mówiono—„jeden i drugi szlachcic siedzieć”. Nie chce dzisiaj chłop, aby kto inny oprócz niego do ziemi miał prawo.

Ta wyłączność stanowa, to nic innego tylko obarczenie dziedziczne, obok tylu innych obarczeń duszy polskiej, która we wszystkich swoich odmianach nie przestała być i jest do dzisiaj *duszą szlachecką*.

Każde posiedzenie Sejmu przekonywa nas o tem, jak po prawej i po lewej stronie jednakoowo przemawia „nieśmiertelna polskość”.

Cóż jest tego źródłem, jeżeli nie wspólna kultura, szczepiona na jednej rasowej płonce psychicznej?

Right or wrong, it is my country — mówi Anglik. I my musimy to samo powiedzieć o naszej kulturze: dobra czy zła, ale polska. To wystarcza, abyśmy ją kochali i szanowali, a kochając i szanując, dbali o jej rozwój, o to, aby stawała się coraz lepszą, gubiła swoje cechy ujemne, a nabierała dodatnich, bardziej odpowiadających potrzebom narodu i wymaganiom życia nowoczesnego.

Wymagania te musi ona zrozumieć i musi się do nich przystosować.

Niektórzy mniemają, że to przystosowanie może nastąpić bardzo szybko. Wystarczy zerwać z przeszłością, odwrócić się od niej i, w imię postępu, całym pędem pójść w jutro, „za innymi”.

Jest to pomyłka, nic bowiem niema szacowniejszego nad oblicze narodowe kultury, wypracowane przez wieki, a w zbyt gwałtownym przewrocie oblicze to może się całkowicie zniekształcić i skazić. Naród nie pozna wówczas samego siebie, jak nie poznał się szlachcic, kiedy zrzucił kontusz, ogolił wąsy i włożył frak i perukę w XVIII-ym w.

Droga przeto jest nie tędy. Prowadzi ona od fundamentów wzwyż, od domu rodzinnego do narodu, od jednostki do zbiorowości, od komórki do organizmu.

Bez silnej rodziny, opartej o własne gniazdo, kultura narodowa, jeżeli nie jest zupełną fikcją, to wisi w powietrzu i ulega łatwo wpływom czynników rozkładowych.

Widzieliśmy już, co się z nią staje w mieście współczesnem, które zniszczyło dom rodzinny i zwałtiło lub naderwało przez to tradycję narodową bardzo poważnie, tworząc zastępy ludzi bez wczoraj i bez jutra, ów mob wielkomiejski, który, niezależnie od swojego położenia materialnego, od warstwy, do której należy, jest tłumem, niczem więcej.

A biada narodowi, który się stał tłumem! Indywidualizacja następuje tylko w rodzinie i tyl-

ko w rodzinie i przez rodzinę dojrzewa obywatel, świadomy swoich obowiązków.

Szkoła powszechna, życie polityczne, sala wiecowa, związki zawodowe, kluby i domy ludowe, teatry, odczyty, koncerty, wystawy obrazów, słowem to wszystko, o co się dzisiaj woła najgłośniej i co się tworzy w imię kultury— jest tylko częścią zastępującego nam drogę zadania.

Nie rozwiążemy go, nie damy szerokim warstwom poczucia związku z narodem, nie uczynimy ich współwłaścicielami tego skarbu narodowego, jaki, w postaci najdroższych naszym sercom polskim tradycyj, posiadamy sami, jeżeli zapomnimy w pracy kulturalnej o przyrodzonym ich ognisku, jakim był w Polsce zawsze *dom rodzinny*.

Jedno z drugim, połączone, dopiero da wynik pomyślny, bo dom rodzinny jest, jak ów ul, do którego pszczoła znosi miód, zebrany na kwiatkach. Podobnie obywatel to, co przeżywa nazewnątrz, na forum publicznem, przynieść musi do domu i składać tam na przechowanie dzień po dniu, rok po roku, pokolenie za pokoleniem. W ten sposób powstaje ów szacowny miód tradycji, niezastąpiony, jako pożywienie duszy, sycający najszlachetniejszymi pierwiastkami odżywczymi serce i umysł.

Na tem podłożu uczuciowem, które człowiekowi daje wspomnienie własnych przeżyć, połączonych nierozzerwalnie z przeżyciami zbioro-

wości, do której należy, powstaje przywiązanie i szacunek dla przeszłości, oraz pragnienie lepszej przyszłości, budowanej własną pracą i wysiłkiem .

Praca ta i wysiłek muszą jednak mieć oparcie, a cóż jest lepszym dla nich oparciem, jeśli nie trwałe „gniazdo rodzinne“, które każdy instynktem przed burzą ochroni, a nikt lekkomyślnie na burzę nie wyda.

„Robotnik nie ma ojczyzny“ — twierdzą socjaliści — a jeżeli mają chwilową część racji, to tylko dlatego, że „robotnik nie ma domu“, nie ma „gniazda rodzinnego“, z którym byłby związany. Racja ta jednak pryśnie jak bańka mydlana z chwilą, kiedy „gniazdo rodzinne“ stanie się dostępne dla każdego, kiedy będzie ono nie łaską losu, lecz prawem dobrze nabytym dla każdego obywatela, kiedy ten obywatel znajdzie tam po pracowitem życiu spokojny schron na starość w otoczeniu, radujących duszę, wspomnień własnego dzieciństwa.

Wówczas zniknie z widowni świata widmo krwawych rewolucyj i przewrotów społecznych, bo zatrzymają się one na progu „gniazda rodzinnego“.

A dzisiaj? Cóż mówi proletariuszowi miejskiemu poddasze lub suterena, gdzie ujrzał światło dzienne?

Jakie ma tradycje i czem żyje ludność miast współczesnych?

ko w rodzinie i przez rodzinę dojrzewa obywatel, świadomy swoich obowiązków.

Szkoła powszechna, życie polityczne, sala wiecowa, związki zawodowe, kluby i domy ludowe, teatry, odczyty, koncerty, wystawy obrazów, słowem to wszystko, o co się dzisiaj woła najgłośniej i co się tworzy w imię kultury— jest tylko częścią zastępującego nam drogę zadania.

Nie rozwiążemy go, nie damy szerokim warstwom poczucia związku z narodem, nie uczynimy ich współwłaścicielami tego skarbu narodowego, jaki, w postaci najdroższych naszym sercom polskim tradycyj, posiadamy sami, jeżeli zapomnimy w pracy kulturalnej o przyrodzonym ich ognisku, jakim był w Polsce zawsze *dom rodzinny*.

Jedno z drugim, połączone, dopiero da wynik pomyślny, bo dom rodzinny jest, jak ów ul, do którego pszczoła znosi miód, zebrany na kwiatkach. Podobnie obywatel to, co przeżywa nazewnątrż, na forum publicznem, przynieść musi do domu i składać tam na przechowanie dzień po dniu, rok po roku, pokolenie za pokoleniem. W ten sposób powstaje ów szacowny miód tradycji, niezastąpiony, jako pożywienie duszy, sycający najszlachetniejszymi pierwiastkami odżywczymi serce i umysł.

Na tem podłożu uczuciowem, które człowiekowi daje wspomnienie własnych przeżyć, połączonych nierozzerwalnie z przeżyciami zbioro-

wości, do której należy, powstaje przywiązanie i szacunek dla przeszłości, oraz pragnienie lepszej przyszłości, budowanej własną pracą i wysiłkiem .

Praca ta i wysiłek muszą jednak mieć oparcie, a cóż jest lepszym dla nich oparciem, jeśli nie trwałe „gniazdo rodzinne”, które każdy instynktem przed burzą ochroni, a nikt lekkomyślnie na burzę nie wyda.

„Robotnik nie ma ojczyzny” — twierdzą socjaliści — a jeżeli mają chwilową część racji, to tylko dlatego, że „robotnik nie ma domu”, nie ma „gniazda rodzinnego”, z którym byłby związany. Racja ta jednak pryśnie jak bańka mydlana z chwilą, kiedy „gniazdo rodzinne” stanie się dostępne dla każdego, kiedy będzie ono nie łaską losu, lecz prawem dobrze nabytym dla każdego obywatela, kiedy ten obywatel znajdzie tam po pracowitem życiu spokojny schron na starość w otoczeniu, radujących duszę, wspomnień własnego dzieciństwa.

Wówczas zniknie z widowni świata widmo krwawych rewolucyj i przewrotów społecznych, bo zatrzymają się one na progu „gniazda rodzinnego”.

A dzisiaj? Cóż mówi proletariuszowi miejskiemu poddasze lub suterena, gdzie ujrzał światło dzienne?

Jakie ma tradycje i czem żyje ludność miast współczesnych?

Miasta te przesycone są atmosferą niezadowolenia.

Dawne tradycje wielkich przeżyć historycznych zamarły w nich, a wielkość epoki współczesnej z trudem tylko zazębia się o świadomość szerokich mas ludności. Zajęte przedewszystkiem troską o swój byt materialny, podszczuwane i roznamiętniane przez agitatorów przewrotu społecznego, którzy wyznają hasło „im gorzej, tem lepiej“, wydane na łup nieuczciwej spekulacji, wyniosły one z okresu wielkiej wojny wspomnienie „ogonków“, głodu i nędzy, bezrobocia, strajków i nienawiści międzyklasowej. A jeżeli dodać do tego tradycje rewolucji 1905/6 roku, które nie wygasły jeszcze we wspomnieniach proletariatu wielkomiejskiego, to otrzymamy w sumie całą puściznę, przekazaną przez pierwsze dwa dziesięciolecia wieku XX-go latom następnym.

Materiał ten ma taką przewagę nad materiałem innym, dziejowo dla narodu cenniejszym i ważniejszym, że nieprędko ustąpi on miejsca w duszy zbiorowej ludu miejskiego radosnemu poczuciu odzyskanej wolności w zmartwychwstałej i zjednoczonej Ojczyźnie.

Poczucie to będzie dopiero stopniowo budził żołnierz polski, biorący udział w odparciu nawały bolszewickiej z pod murów Warszawy. Jego legenda i legenda o nim staną się podstawą nowoczesnej rycerskiej tradycji polskiej i źró-

dłem czystych uczuć, które na drożdżach tej tradycji wyrosną.

Ale bohatera opowieść o „szarym żołnierzu”, aczkolwiek rozświecili i ogrzeje izbę robotniczą, to jednak, jako podstawa kultury, już nie wystarczy.

Nowe czasy wymagają wprowadzenia nowych pierwiastków i dopełnień do kultury narodu, który jednostronny, sielsko-rycerski okres swojego bytu już zakończył, a wszedł w ramy życia o wiele wszechstronniejszego.

Życie to opiera się dzisiaj, jak już mówiliśmy, na pracy i na wysiłku, na tradycji pracy i wysiłku oprzeć się też musi kultura narodowa. Praca i wysiłek muszą wytworzyć nową atmosferę, otaczającą każdego z nas od najwcześniejszych lat dzieciństwa, a więc przesycającą przede wszystkim ściany „gniazda rodzinnego”. Tam kult pracy powinien ogrzewać serca i napełniać je otuchą na coraz lepsze i coraz szczęśliwsze jutro dla wszystkich.

Tymczasem na progu naszego „nowego” życia zastajemy nie tradycję pracy, ale tradycję rozkładu społecznego, lenistwa i próżniactwa, które przedostają się do nas od wschodu wraz z trucizną agitacji komunistycznej.

W zbawczą potęgę pracy robotnik, wychowany na materjale poglądowym ostatnich lat, nie wierzy i odsyła do „wzorów kaligraficznych” tych, co mu o tem mówią.

I czy można mu się dziwić, skoro widzi z jednej strony, że bez pracy i wysiłku, drogą wymuszania, zdobywa wyższe wynagrodzenie, z drugiej zaś, że pomimo pracy i wysiłku często nie może zabezpieczyć ani sobie, ani rodzinie przyszłości.

A jednak „w pocie czoła pracować będziesz” — i każdy człowiek, prędzej czy później przekona się, że tylko na drodze pracy i wysiłku leży rozwiązanie kwestji społecznej i ustalenie ładu i porządku na świecie, rozkołysanym dzisiaj po burzy dziejowej falą niespokojną i niebezpieczną.

Trzeba szerokie masy w tym kierunku wychowywać, a jakież jest lepszy środek wychowawczy, niż pokazanie człowiekowi realnych owoców jego pracy i zabiegów życiowych?

Dzisiaj ta praca i zabiegi w przekonaniu wielu idą na marne, a przekonanie to podsyca agitacja, która mówi robotnikowi: „i cóż masz za swą pracę? śmierć w szpitalu i cztery deski do trumny, bezdomność dzieci i ich nędzę lub zagładę”.

I nic nie trafia tak do przekonania mas, jak to właśnie, bo rozglądają się one dokoła siebie i widzą, jak człowieka pracowitego i zabiegliwego na każdym kroku uprzedza sprytna spekulacja. Ona zagarnia wszystko. Ona, operując przysłowiowym „łutem szczęścia”, nietylko w kozi róg zapędza „funty rozumu”, lecz przedewszyst-

kiem uczy *lekceważyć* pracę i zniechęca do niej. Ona tworzy dzisiaj bogatych parwenjuszów bez kultury, którzy w zamęcie czasów, wytrąconych z równowagi ekonomicznej, potrafią łowić nie już ryby ale „wieloryby” i na ich grzbietach wypływają na sam wierzch fali społecznej, gdzie pieniądz rozstrzyga o wartości człowieka.

Zaszachowana w ten sposób praca usuwa się upokorzona na bok, a ci, którzy głoszą, że świat tylko na pracy opierać się powinien, tracą grunt pod nogami i ze zgaszoną pochodnią swojej wiary stoją w kącie pod zarzutem fałszywego apostołstwa.

Triumfuje nad nimi agitator, potrząsający czerwonym sztandarem. I to jest najniemoralniejsze zjawisko epoki.

Jakże łatwo jednak byłoby ten sztandar wytrącić z ręki agitatora przez zapewnienie każdemu człowiekowi pracującemu „ogniska rodzinnego”, przez zapewnienie mu realnych owoców jego pracy i wysiłku życiowego w postaci własnego domu.

Nie będziemy rozwiązywali tu strony ekonomicznej tego zagadnienia, które spotyka dzisiaj na swojej drodze trudności nie do zwalczenia. Konjunktury dnia dzisiejszego nie są jednak wieczne. Muszą one ulec i ulegną zmianie i, jeżeli nie nasze, to następne pokolenie przystąpi do realizacji idei „gniazda rodzinnego”, jako podstawy kultury narodowej.

Tu powtarzamy tylko z całym naciskiem, że pozbawiona tego gniazda, wyrzucana z tymczasowych swoich siedzib na bruk miejski, tułająca się z kąta w kąt, nie osiadła, pomimo pozorów osiadłości, rodzina współczesna pracuje raczej nad zagładą, niż nad podtrzymaniem i rozwojem kultury.

Upadek jej widzimy na każdym kroku, w dziedzinie stosunków prywatnych i publicznych, w domu i na ulicy, w świątyni i w sejmie, w życiu i w pisanem słowie.

Jesteśmy w przededniu katastrofy. Dawna „szlachecka” kultura zanika, nowa „demokratyczna” nie powstaje na jej miejsce. Znamy ją z zapowiedzi, z frazesów demagogicznych, z chępliwych wynurzeń zarozumiałców, którzy narkotyzują siebie i naród, nie widzimy jednak wyraźnie zarysowanego jej oblicza, a jeżeli rysy tego oblicza wyłonią się czasem na chwilę, to rażą nas one i zniechęcają do siebie, są dla nas obce i nieprzyjemne. I dzieje się to w chwili, kiedy niewątpliwie oświata coraz szersze zatacza kręgi i kiedy porozumienie się nasze wzajemne zapomocą druku staje się niemal powszechnie dostępne.

Dawniej o takie porozumienie było znacznie trudniej, a jednak właśnie dawniej, wśród ludzi, nie umiejących ani czytać, ani pisać, spotykaliśmy jednostki o niezaprzeczonej i dużej kulturze

obyczajowej i uczuciowej, kulturze rodzinnej, nawskroś polskiej i sympatycznej, właśnie przez tę swoją nieodrodną polskość.

Któż z nas nie pamięta owych typów „starych sług” po dworach wiejskich, typów nietylko „powieściowych”, ale rzeczywistych, istniejących naprawdę i naprawdę przedstawiających dużą wartość ludzką w porównaniu z dzisiejszym nicpoństwem?

Kto nie ma w pamięci postaci z drobnomieszczańskiego świata Warszawy z przed lat 40-tu i 50-ciu, owych rzemieślników i sklepikarzy, mających żywe poczucie tradycji narodowej i pielęgnujących te tradycje starannie na facjatach staromiejskich, gdzie obok pelargonji i fuksji, rozpiętych na drabinkach, kwitła także nieśmiertelna polskość, wyniosła i dumna, nie wchodząca w żadne kompromisy z wrogiem i żyjąca nadzieją jutra.

Ileż tam było typów arcyciekawych, jakie bogactwo indywidualności, jaka godność postawy i ruchu, jaka wysoka kultura uczuć i jaka swoista dystynkcja w obejściu się człowieka z człowiekiem?

Gdzie się podziało to wszystko? Odeszło i nie wróci. A cóż dawało tym ludziom ich kulturę? Skąd brali oni ten pion w życiu, który nie pozwalał im ani zbyt nisko ugiąć karku, ani wynosić się nad niższych od siebie?

Wychowały ich tradycje narodowe polskie, sięgające czasów Księstwa Warszawskiego i wojen napoleońskich, które pozostawiły w Polsce posiew zdrowy prawdziwej demokratycznej idei, oraz poczucie honoru i Ojczyzny, wypisane na chorągwiach, pod którymi walczył żołnierz polski, aby je wziąć potem na resztę życia w swoje serce proste i poczciwie kochające kraj i współobywateli. Nawarstwiły się na to później wspomnienia nocy listopadowej i lat 1830/31, wreszcie ostatnia krwawa epopeja narodu w latach 1861 — 65 z szubienicami na placach Warszawy i na stokach cytadeli wycisnęła na nich swoją pieczęć czerwoną.

Z takiej szkoły byli tamci — nie ze szkoły strajków i pochodów komunistycznych.

Taką atmosferą oddychały wówczas ogniska rodzinne. To było najcenniejszą puścizną, jaką ojciec przekazywał synowi, dziad wnukowi. I to było siłą rodziny polskiej — na wsi i w mieście.

Dzisiaj rodzina polska siłę tę traci, bo nie ma już tego bogactwa tradycji, bo przestaje opierać się o przeszłość, a oparcia o przyszłość jeszcze nie zdobyła. Zrywa się w niej i zanika tradycja historyczna, a tradycja pracy i wysiłku jeszcze się nie wytworzyła.

W tej chwili przełomowej zastępuje nam drogę zagadnienie „gniazda rodzinnego“, jako najaktualniejsze może ze wszystkich zagadnień wiel-

kiego momentu, który przeżywamy. Bez tego „gniazda” nie wytworzymy tradycji, a bez tradycji niema i nie może być kultury. W jej przeto obronie i dla niej budujemy „dom polski”, któryby mógł w przyszłości spełnić rolę, jaką go oczekuje.

W O L N O Ś Ć.

Najszacowniejszym skarbem obywatela jest Wolność. Jeżeli nie czuje się on wolnym, nie może się czuć obywatelem. Szlachta polska wiedziała o tem bardzo dobrze i rozumiała wartość wolności. Nauczyła się cenić ją od Rzymian starożytnych. Wraz z recepcją prawa rzymskiego przejęła ona wiele zapatrywań rzymskich, między innemi, pogląd na znacznie wolności. Przeszedł jednak szlachcic Rzymianina i „jak orzeł bez pętlic na swej przyrodzonej pod królem swoim bujał swobodzie”, nadużywając jej, aż zniszczył państwo i wraz z niem swoje własne utracił „królestwo wolności”, w którym „prawem i lewem” żyć było można, nie oglądając się na to, że „wolność jednego obywatela kończy się tam, gdzie się zaczyna wolność drugiego”.

W latach niewoli nieraz gorzko wypominaliśmy szlachcie tę winę. „Gdyby — mówiono — nie wyłączność jej stanowa, gdyby nie upośledzenie mieszczaństwa i niewola ludu wiejskiego, nie przyszłoby do upadku. Szlachta ten upadek

zgotowała. Nie ona też Polskę odbuduje. Odbuduje ją „chłop i robotnik”, którzy potrafią interes narodu, jako całości, stawiać wyżej ponad interesy swojej warstwy”.

Na tych podstawach ideowych rósł i rozwijał się nasz ruch demokratyczny, w którego pierwszych szeregach od wieku XVIII-go po dzień dzisiejszy widzimy potomków szlachty, szukającej na tem polu ekspiacji „za winy przodków”.

Ekspiacja ta z chwilą zmartwychwstania politycznego naszej Ojczyzny została osiągnięta.

Dzisiaj niema już racji winić kogokolwiek o upadek państwa, ale wyteńczyć należy siły całego narodu, aby to państwo dźwignąć, umocnić jego budowę i uczynić ją tak trwałą, aby już nigdy w dziejach nie powtórzyła się tragedia rozbiorów.

Ta myśl państwowo-twórcza przyświecać musi nietylko umysłom, przodującym w narodzie, ale ogarniać powinna wszystkich, którzy poczuwają się do obywatelstwa polskiego, dla których odzyskana wolność jest skarbem najszacowniejszym z tego, co naród posiada.

Mówimy zwykle z pewną dumą o tem, że „Polak ma wolność we krwi”. Jest w tem dużo słuszności, ale i dużo także optymizmu psychologicznego, wynikającego z chętnego zamykania oczu na spustoszenia, jakich w duszy polskiej dokonała niewola.

Zbyt długo ona trwała, aby śladów po sobie nie pozostawiła żadnych. Są one i nietrudno je odnaleźć na obliczu duchowem narodu, który za ledwie od lat kilku oddycha swobodnie, a w którym niemowlętami są jeszcze obywatele, urodzeni w pełni swoich praw na ziemi, rozkutej z łańcuchów.

Pokolenie, które stoi dzisiaj u steru życia, dźwiga jeszcze na sobie, i dźwigać będzie długo, przekleństwo niewoli. Stoi ono na progu nowej Polski tak, jak Żydzi, wyprowadzeni z Egiptu, stali na progu ziemi obiecanej. Oglądali ją z wyżyn, ale nie weszli do niej, dopóki stare pokolenie nie wymarło, a nowe, nie pamiętające jarzma egipskiego, nie dojrzało do życia. Trwało to lat 40.

I my nie weszliśmy dotychczas do „ziemi obiecanej”, którą wypiaستowało nasze marzenie o Polsce niepodległej. I my oglądamy ją dopiero z wyżyn, gdy na nizinach naszego życia kłębi się jeszcze mętna fala wyniesionych z niewoli nałogów.

Jednym z tych nałogów jest właśnie takie pojmowanie wolności, jak ją pojmuje nie *wolny obywatel*, ale świeżo wyzwolony niewolnik. Rzuca się on w odmet swobody i przewraca kozły z radości, że ma ruchy nieskrępowane, niepomny zgola, że przy tych kozłach może kark skrećić.

Jest to reakcja przeciw niewoli, zupełnie zrozumiała i usprawiedliwiona. Ale reakcja taka nie

może trwać długo. Czas opamiętać się i czas poddać kontroli stosunek ogółu polskiego do wolności.

Wolność nie może być utożsamiona ani z *samowolą*, ani ze *swawolą*. Tymczasem jedni rozumieją ją u nas, jako samowolę, inni, jako swawolę. Stąd mnóstwo nieporozumień u dołu i u góry społeczeństwa, w rządzie i w sejmie. Na każdym kroku jesteśmy świadkami wybryków indywidualnych i zbiorowych, które mącą pojęcie istoty wolności obywatelskiej i wskrzeszają najbardziej niepożądane tradycje polskiego warcholstwa.

Nie są to pociągające wspomnienia i, jeżeli w tym duchu mamy wychowywać warstwy, które świeżo weszły do narodu i powołane są do budowania jego przyszłości dziejowej, jego mocy i potęgi, to musimy poważnie zastanowić się nad tem, dokąd to prowadzi.

Zło, które się u nas panoszy i rozrasta, zawczasu trzeba ująć w karby. *Samowoli* i *swawoli* trzeba nałożyć wędzidła.

Nie będzie w tem żadnego gwałtu, nie będzie *absolutum dominium* jednych poglądów nad innymi, czego się Polak zawsze tak obawiał i przeciw czemu krzyk podnosił.

Nie — bo wędzidła *wolności* tkwią w jej istocie, bo ona sama posiada dostateczne w sobie środki na poskromienie siebie samej, gdy zajdzie tego potrzeba.

Przyjrzyjmy się temu bliżej. Najwolniejszy z wolnych obywateli kuli ziemskiej, Amerykanin, uważa, że „najwyższą nagrodą wolności jest poczucie odpowiedzialności za czyn, dokonany w absolutnej swobodzie”.

Niczego więcej nie trzeba. To otwiera nam drogę do zrozumienia i określenia granic, jakie wolność indywidualna obywatela uznać musi dla siebie za obowiązujące, jeżeli nie chce działać na szkodę innych obywateli, to znaczy na szkodę społeczeństwa i narodu.

Poczucie odpowiedzialności za każdy czyn jest miarą obywatela. Ono pasuje go dopiero na „rycerza wolności” i czyni godnym tej wolności. Nie odpowiadają za swoje czyny tylko dzieci i ludzie niepoczytalni, każdy natomiast człowiek dojrzały, a za takiego uważa się „obywatel”, musi mieć świadomość następstw swojego czynu, a więc, co za tem idzie, musi poczuwać się do odpowiedzialności za to, co czyni.

Odpowiedzialność ta, o ile idzie o życie polityczne, o czyn polityczny, jest wieloraka. Prawy obywatel musi być w zgodzie z sumieniem własnem, z duszą i z sumieniem narodu, z postulatami chwili dziejowej i z *przyszłością*, która o tej chwili wyda sąd i oceni sprawiedliwie owoce, które ona przyniosła.

Nie jest to rzeczą łatwą, ale jest rzeczą niezbędną tam, gdzie wchodzi w grę najżywotniejsze interesy narodu.

Lekkomyślność jest karygodną w życiu jednostki, niedopuszczalną zaś w polityce, która kieruje losami milionów, sprzęgniętych wspólną tradycją w naród.

Nietylko jednak w polityce poczucie odpowiedzialności za każdy czyn obowiązuje wolnego obywatela.

Obowiązuje go ono tak samo w każdej innej dziedzinie życia, tam zwłaszcza, gdzie wchodzi w grę najwyższe dobra umysłowe, moralne i duchowe narodu, to znaczy podwaliny jego kultury.

Odstraszającym w tym kierunku jest przykład Rosji, która przez fałszywą wolność, nadaną tłumom, doprowadziła kulturę rosyjską do zagłady, stawiając na jej miejsce „bałwana” *kultury proletariackiej*, której niema i być nie może.

Złowróżbną jest także u nas swawola, z jaką pewne ugrupowania młodych artystów traktują literaturę i sztukę, czyniąc z niej zabawę dla młodochu.

Mamy tu do czynienia z typowym objawem braku poczucia odpowiedzialności za to, co się czyni, za siejbę, którą się rzuca, za rozkład, który się szerzy.

A wszystko to wynika z fałszywego rozumienia wolności, z nadużywania jej świętego palladium do osłaniania rzeczy i spraw, które jej samej wyrządzają szkodę i które, prędzej czy pó-

źniej, doprowadzić muszą do jej ograniczenia przez reakcję.

Naród ma prawo do samoobrony w tym kierunku, do walki z tem, co uważa za niepożądane dla swojej siły i zdrowia. Może więc nawet skrócić cugle wolności, jeżeli uzna, że „wolni obywatele“ nadużywają swobody swoich czynów i, zamiast Ojczyznę budować i wzmacniać w każdym kierunku, osłabiają ją i niszczą, jak niszczy łakę stado niesfornych, rozbrykanych źrebiąt, wypuszczonych poza ogrodzenie. Nikt z nas nie pragnie, aby takie „ogrodzenie“ naszej wolności stało się konieczne. Nikt z nas nie jest zwolennikiem reakcji w jakiegokolwiek postaci.

Ale jeżeli tak jest istotnie, jeżeli szanujemy i kochamy naszą wolność „ponad życie“ i w każdej chwili gotowi jesteśmy stanąć w jej obronie, to pracujemy nad tem, aby w życiu prywatnem i publicznem, na każdym polu, gdzie rozwija się czyn wolny, rowijało się także równolegle poczucie odpowiedzialności za ten czyn, rosła świadomość różnicy, jaka zachodzi pomiędzy anarchją a twórczą siłą rzeczywistej wolności, pomiędzy warcholstwem a służbą obywatelską pod chorągwiami Ojczyzny.

Wewnętrzne, wypracowane w nas, rygory sumienia obywatelskiego wskażą nam najlepiej drogę, prowadzącą do celu.

I na tej tylko drodze naród osiąga to, co jest najszacowniejszą jego zdobyczą: kulturę swojego

życia zbiorowego, a więc przedewszystkiem *kulturę polityczną*, która w tej chwili na tak niskim stoi u nas poziomie, że nam to nawewnątrz i nazewnątrz ogromne krzywdy wyrządza, dając pozór, że nie *wolność*, ale *samowola i swawola* są „we krwi Polaków”.

POCZUCIE PRAWA.

Podstawą kultury życia publicznego jest poszanowanie prawa.

Naród, żyjący w ustroju demokratycznym, a więc sam stanowiący prawa dla siebie, musi te prawa szanować.

Obywatel, który nie schyla głowy przed prawem, który prawu temu się sprzeciwia w jakikolwiek sposób, jawnie lub skrycie, przez pogwałcenie go lub przez wykrętną jego interpretację, popełnia czyn występny i czynem tym przekreśla swoją obywatelskość. Rezygnuje dobrowolnie ze swojej wolności i godzi się na zastosowanie do siebie przymusu, prawo bowiem, niewykonane dobrowolnie, musi stosować do krnąbrnych obywateli przymus, musi ich siłą podporządkować sobie, lub usunąć ze społeczeństwa wolnych i odpowiadających za swoje czyny.

Spółeczeństwo tedy, które chce mieć kulturę polityczną, nie może posiadać jej inaczej, jak tylko przez wszczepianie szerokim warstwom obywateli poczucia świętości i nienaruszalności prawa.

Bez tego nie może być praworządnych stosunków w państwie, nie może być jasnego i niezbędnego w milionach głów zrozumienia obowiązków w zakresie publicznego i prywatnego życia, które w swoich złożonych formach współczesnych wymaga nieustannie pomocy i kontroli stałego czynnika regulującego. A tym właśnie czynnikiem jest prawo.

Ono jest fundamentem Rzeczypospolitej i dlatego każdy, kto je narusza, narusza fundament państwa — wszystko jedno, czy tak czyni najwyższy w państwie urzędnik, czy najzwyczajniejszy kryminalista.

W dawnej szlacheckiej Rzeczypospolitej mówiono z przekąsem, ale i nie bez zadowolenia, że „w Polsce, jak kto chce”.

W dzisiejszej, demokratycznej Rzeczypospolitej może być tylko tak, jak tego chce prawo, to znaczy tak, jak tego chce naród, prawo stanowiący.

Niesforny polski indywidualizm musi się z tem zgodzić, musi ulec powadze prawa. Inaczej rozsądzi on całą budowę państwową i doprowadzi naród do ponownej niewoli.

Dla Polski odrodzonej są to rzeczy niesłychanej wagi nie tylko ze względu na nasze obarczenie dziedziczne w kierunku samowoli i swawoli, ale w daleko większym stopniu z uwagi na to, że cały wielki odłam naszego narodu, związany z państwem rosyjskiem, w obrębie tego państwa

nie przeszedł przez dyscypliny nowoczesnego ustroju praworządnego, lecz, przeciwnie, ulegał razem z tem państwem rozkładowi politycznemu i społecznemu.

Prawo w b. cesarstwie rosyjskiem nie było nigdy i przez nikogo szanowane. Gwałcono je na każdym kroku i obchodzono wszelkimi sposobami. Unikano nawet jego karzącej ręki albo przez stosunki, albo drogą przekupstwa, co doprowadziło do tego, że, zwłaszcza w dziedzinie administracyjnej, panowała na całym obszarze państwa, nieznana gdzie indziej, samowola gubernatorów i policmajstrów, robiących „złote interesy” na spółkę z Żydami, przeciwko społeczeństwu i przeciwko państwu.

Zwolna, jak trucizna, przesączało się to do nas, to też skutki długoletniego połączenia naszego z Rosją były takie, że nawet stosunki prawne w dziedzinie cywilizacji, ustalone w Ks. Warszawskiem i w Królestwie Kongresowem, a oparte na przyjętym i zasymilowanym przez Polskę kodeksie napoleońskim, uległy zczasem rozprzężeniu. Tem bardziej wszystko, co było dowodem starej kultury prawno-politycznej w Polsce, było konsekwentnie niszczone, lub tam, gdzie nie dało się zniszczyć i usunąć, zanieczyszczone przepisami dodatkowemi, wnoszącemi nieład do najprostszych i najlogiczniejszych nawet konstrukcyj.

To opłakane dziedzictwo, które objęliśmy

z chwilą powstania państwa polskiego, kładzie na nas podwójny i potrójny obowiązek czuwania nad tem, aby naród, powołany do samodzielnego życia, wyprowadzić co rychlej z trzęsawiska, w jakie wepchnęła go niewola i postawić na mocnym gruncie prawa.

Przywrócenie prawu powagi i zaufania w szerokich masach, uświadomienie tych mas, że prawo nie jest poto, aby szkodzić i krępować, lecz poto, aby pomagać i zabezpieczać wolność obywatela, jest pierwszym i nieodzownem w tym kierunku zadaniem, które równolegle spełniać muszą czynniki państwowe i społeczne.

Rozdzwięk pomiędzy temi czynnikami jest niesłychanie szkodliwy i jeżeli jeden z nich idzie „do Sasa“ a drugi „do Lasa“, to wniosek, jaki z tego wyciągają masy, prowadzi już prosto do anarchji, t. j. do tego, że „każdy sobie rzepę skrobie“, nie oglądając się na dobro i pożytek ogółu, ale jedynie własny interes mając na widoku.

W ciągu trzech pierwszych lat istnienia państwa polskiego i obradowania w Warszawie sejmku konstytucyjnego, byliśmy niejednokrotnie świadkami rozbieżności pomiędzy jego uchwałami, stanowiskiem i dążeniami społeczeństwa, a tem, co przedsiębrał rząd. Było to zrozumiałe, bo żyliśmy na zasadach tymczasowości, w trakcie obrad sejmu nad konstytucją. Ale ta tymczasowość, niestety, przedłuża się. Konstytucja,

uchwalona nie bez przeszkód i trudu, już weszła w życie. Zanim jednak prawa zasadnicze zaczęły obowiązywać, na tle ustaw przejściowych powstały całe szeregi dziwolągów prawno-politycznych, które zdążyły już zapuścić korzenie w nasze młode życie państwowe.

Tymczasem bez jasno określonych norm prawno-politycznych życie publiczne jest niemożliwe. Z jednej strony wykoleja się ono w każdym trudniejszym momencie tam, gdzie powstaje kwestja donioślejszych decyzji i odpowiedzialności za nie, z drugiej wykoleja to masy w ich politycznym rozwoju, rozwój ten opóźnia, a mniej świadomych i mniej dojrzałych obywateli demoralizuje, wydając ich na łup agitacji stronnictw i partyj, walczących z sobą o władzę.

Niebezpieczne przykłady takiej właśnie demoralizacji dawał nam wielokrotnie sejm konstytucyjny w czasie swoich obrad. Nie był on szkołą kultury politycznej dla mas, nie przekonał postępowaniem swoim tych mas o tem, co wziął sobie za godło i wypisał, jako hasło.

Salus reipublicae nie była dla niego *suprema lex*, bo często nad dobrem Rzeczypospolitej brał górę interes danego stronnictwa. Rozkołysane fale namiętności pochłaniały wówczas już nie pojęcie prawa i słuszności, ale pojęcie dobra ojczyzny i elementarnych względem państwa obowiązków.

Musiało się to odbić na całokształcie nasze-

go życia publicznego, gdzie rozwieliżmożniła się zasada swobody działania na własną rękę i nie oglądania się na to, jakie pociąga to za sobą skutki dla państwa.

W ten sposób w masach zachwiane zostało przedewszystkiem poczucie prawa własności, które, aczkolwiek gwarantowane przez konstytucję i uznane za jej podwalinę, pozostaje u nas pod znakiem zapytania na skutek całego szeregu ustaw i ograniczeń, krępujących właściciela w swobodzie rozporządzania własnością.

Dalej uległo w społeczeństwie zanikowi poczucie krzywdy społecznej, wyrządzanej przez spekulację. Rozwinął się wyzysk, nie tamowany nietylko już przez prawo, ale nawet przez sumienie. Lichwa żywnościowa i orgja walutowa przybrały zastraszające rozmiary.

Jeszcze dalej rozwinęło się nadużywanie władzy przez czynniki, władzę tę piastujące. W sferach urzędniczych i wojskowych częste były wypadki sprzeniewierzeń i przestępstw.

Wszystko to świadczy o braku w społeczeństwie poczucia prawa.

Elementy, wychowane dawniej w obawie prawa, za którem stała siła państwa zaborczego, z chwilą upadku tej siły, przestały obawiać się prawa, a siła powstającego państwa polskiego okazała się zbyt słabą, aby poszanowanie dla prawa nakazać tym, którzy bez takiego nakazu obejść się nie mogą.

Z drugiej strony zły przykład, idący z góry, od rządu i od sejmu, nie sprzyjał tworzeniu się w społeczeństwie mocnej i skoordynowanej opinii publicznej, stojącej za prawem i występującej w jego obronie, ilekroć byłoby ono w powadze swojej zagrożone.

Dla tworzenia się jednak takiej opinii i dla tworzenia się takiej obrony niezbędna jest przede wszystkim znajomość prawa, a tej u nas jest mało, nawet wśród warstw inteligentnych.

Nigdzie na świecie *juris ignorantia* nie jest tak rozpowszechniona, jak u nas, gdzie obywatel mało dotychczas dba o to, jakie przysługują mu prawa, jak i w jakim zakresie może z nich korzystać, kto i kiedy te prawa mu uszczupla lub odbiera.

W takich warunkach kultura życia publicznego zawieszona jest jakby w powietrzu, nie ma ona stałego oparcia, nie ma fundamentu, na którym możnaby ją budować wyżej i szerzej.

I dopóki tego fundamentu nie założymy, dopóki nie obudzimy w szerokich masach narodu *poczucia prawa*, dopóty o kulturze politycznej możemy tylko mówić, jak o muzyce przyszłości.

Ponętą może być dla nas jej melodia, ale nie my usłyszymy symfonię, którą pragnęlibyśmy słyszeć, nie my będziemy świadkami harmonijnego układu sił, ścierających się z sobą w walce politycznej o lepsze jutro narodu, o większą siłę i znaczenie państwa.

Walka ta jest niezbędna, jeżeli jednak toczą ją pomiędzy sobą stronnictwa i partje, posiadające niski poziom kultury politycznej, lub zgoła kultury tej pozbawione, to zamienia się ona w orgję polityczną, gdzie szaleją rozpętane namiętności, a gdzie dobro, o które wszystkim chodzić powinno, najwyraźniej traci. Strat tych nie widzą w zaślepieniu obozy walczące, ale naród i państwo odczuwają je zawsze, prędzej czy później, na własnej skórze.

Dlatego kultura polityczna jest nieodzownym składnikiem kultury narodowej, obejmującej całokształt życia narodu, którego dobro wymaga podporządkowania indywidualnych i sprzecznych nieraz z sobą dążeń jednemu celowi i jednemu interesowi zbiorowemu.

Naruszanie tego interesu przez jednostki, pozbawione poczucia szkody, którą wyrządzają, a więc przez lekkomyślnych agitatorów i mówców wiecowych, przez niesfornych lub niepoczytalnych publicystów, wreszcie przez wszystkich, którzy własne sprawy i cele przekładają ponad sprawy i cele państwa, powinno być doraźnie piętnowane przez zdrową opinię publiczną.

Opierając się na poczuciu prawa i zrozumieniu obowiązków obywatela, opinia ta jest źródłem norm życia publicznego, pilnuje dobrych jego tradycji i krzewi tem samem w wewnętrznych i zewnętrznych stosunkach narodu kulturę polityczną. Innej drogi do jej zdobycia niema.

WYCHOWANIE NARODOWE.

Dwa są fundamenty, na których wspiera się wychowanie narodowe: rodzina i szkoła.

Rodzina daje nam ten zasób tradycji, który jest niezbędny do tego, abyśmy poznali swój związek duchowy z narodem. Ona wprowadza nas w świat zwyczaju i obyczaju narodowego i kształci w nas te uczucia, które czynią nas świadomymi uczestnikami społeczności narodowej.

Przez rodzinę wchodzimy tedy do narodu i dlatego wszystkie społeczeństwa cywilizowane szanują ten związek odwieczny, jako podstawę swojego istnienia.

Rozkład rodziny—to rozkład społeczeństwa, a co za tem idzie, narodu i państwa. Dzieje uzasadniały to wielokrotnie bardzo wymownymi przykładami, a świeżo mamy jaskrawy przykład tej prawdy w Rosji, której upadek rozpoczął się od rozluźnienia i zaniku więzów rodzinnych.

Inteligencja rosyjska, hołdująca radykalizmowi społecznemu, nie przywiązywała wagi do

„starych przesądów“ europejskich, uważając je za wyraz obłudy społecznej i towarzyskiej. Przecistawiając się „zgniłemu zachodowi“ i dążąc do „szczeroci i prawdy“ w życiu, co w praktyce okazało się tylko barbarzyństwem, podcięła ona mocno zręby rodziny, zanarchizowała jej życie wewnętrzne, dała folgę egoizmom rodziców i dzieci, uświęciła konkubinaty, wprowadziła przewagę zmysłów nad uczuciem w wolnych związkach pomiędzy mężczyzną a kobietą.

Zwłaszcza „kobieta - człowiek“, wychowana w tych sferach, odchyliła się tak znacznie od typu „kobiety-matki“, wytworzonego przez kulturę zachodnio-europejską, że raczej stała się bliższą typowi hetery, a nawet zwykłej rozpustnicy.

Przestała ona być węglem ogniska domowego. Przestało ono się na niej opierać i natychmiast zachwiało się.

Podobnego rozprężenia moralnego, jakie było w rodzinie rosyjskiej w okresie pomiędzy rewolucją 1905/6 roku, a wielką wojną, nie znało żadne inne społeczeństwo, mimo, że wszystkie przeżywają okres kryzysu moralnego.

To, co we Francji jest tylko w romansie, w Rosji było w życiu.

Francja, mimo „trójkątów“, od których roi się jej beletrystyka i sztuka dramatyczna, umiała rodzinę zachować, umiała uczynić z niej swoje *palladium* narodowe i, jeżeli w wojnie zwyciężyła, to zwycięstwo to zawdzięcza w znacznej

mierze tej atmosferze patryjotycznej, którą oddychał dom francuski, opierający się rozkładowemu działaniu czynników międzynarodowych.

Matka-Francuzka, jak niegdyś mickiewiczowska „matka-Polka“, umiała wychować synów w idei odwetu i poświęcenia dla ojczyzny, umiała ich wykarmić nie tylko mlekiem własnej piersi, lecz i tym najpożywniejszym pokarmem, jaki dziecko otrzymuje na całe życie u jej kolan i pod wpływem którego kształtuje się jego dusza: miłością ojczyzny.

Wręcz przeciwnie — Rosja wojnę przegrała, bo pokolenie, które w niej brało udział, nie miało matek-obywatelek, ale zrodzone i wychowane było przez matki-hetery i patrzyło od młodu na rozpasane, kłębiące się dokoła ich rodziców, życie zmysłowe, pozbawione jakiejkolwiek głębszej idei przewodniej, mające za hasło słynne „naplewał“.

To pokolenie nie umiało też obronić rodziny przed ostatecznym ciosem, jaki jej zadał bolszewizm, burząc ją świadomie, jak burzy się twierdzą, aby nieprzyjaciół nie miał się gdzie zamknąć i schronić.

I to było początkiem anarchji, szalejącej do tychczas w społeczeństwie rosyjskiem. Od tej chwili robota burzycielska szła już łatwo.

Z klęski moralnej, jaką wskutek upadku rodziny poniosła Rosja, niepodobna jeszcze dzisiaj zdać sobie sprawy. Rachunek taki nie da się

przeprowadzić doraźnie. Na wyniki jego ostateczne trzeba czekać lata i dopiero przyszłe pokolenia poznają miarę zła, które wyrządził narodowi rosyjskiemu eksperyment bolszewicki, wypowiadający w imię wolności walkę „niewoli rodzinnej”.

W „niewoli” tej wyrastają gdzie indziej wolni obywatele. Niechże Rosjanie baczą, aby w ich „wolności” nie wychowali się niewolnicy.

Przestroga, wynikająca stąd dla innych społeczeństw, jest aż nadto jasna, aby ją należało specjalnie uwydatniać.

Organizacja społeczna nie posiada innego ponad rodzinę związku, któryby wytrzymał tyłowiekową próbę i ostał się wśród tyłu przemian.

I to jest największą siłą rodziny. Spaja ją doświadczenie stuleci i stulecia są przed nią.

Rozwoju moralności zbiorowej, jej zwycięstwa i triumfu nad egoizmem jednostki niepodobna sobie wyobrazić bez tego fundamentu, dlatego też nie osłabienie i rozkład rodziny, ale jej wzmocnienie i uszlachetnienie leżą w interesie wolnych, i wolność miłujących, społeczeństw.

Naród bez rodziny byłby mechanicznym związkiem obywateli, niepołączonych z sobą żadnym silniejszym uczuciem, żadną tradycją uczuciową, która zapładnia serce człowieka w dzieciństwie i sprawia, że może ono potem, w życiu dojrzale, rozwinąć się w kwiat pełny i doskonały.

I dlatego rodziny w wychowaniu narodowym nic nie zastąpi.

Nie zastąpi jej najlepsza szkoła, bo jej charakter i zadania są inne.

Jeżeli rodzina kształci w nas uczucie, to szkoła kształci w nas wolę i rozum. Stawia ona dziecko oko w oko z obowiązkiem, wymaga spełnienia tego obowiązku, hartuje i ćwiczy wolę, zmuszając ją do pewnych stałych napięć, uczy pokonywać trudności, a więc zwyciężać i iść na przód.

Jednocześnie, dając wychowankom swoim pewną sumę wiadomości, wzbogaca ich umysły, rozszerza ich horyzonty myślowe, wprowadza ich do tej społeczności narodowej i ogólnoludzkiej, gdzie obok materialnych zdobyczy, osiągniętych w walce o byt, mają także swoje znaczenie i swoją cenę zdobycze inne, niematerialne, nadające głębszy sens istnieniu człowieka i zbliżające go do poznania istoty swoich zadań i celów.

Ale dopiero człowiek, który przeszedł w rozwoju swoim przez te trzy stadia, to znaczy, któremu rodzina dała podstawy uczuciowe, a szkoła narodowa wykształciła w nim wolę do zwalczania przeciwności i rozum, zdolny do samodzielnej pracy i samodzielnego określenia swojego stosunku indywidualnego do społeczeństwa, narodu, państwa i ludzkości—ma szanse do stania się człowiekiem pełnym i obywatelem, godnym tych praw i swobód, które mu jego naród

nadaje, nie poto, aby się burzył i powstawał przeciw nim, lecz poto, aby je szanował, strzegł ich, umacniał i rozszerzał stopniowo.

Spółeczeństwo polskie żyje dzisiaj w okresie przełomowym.

Zasada „wychowania narodowego” w domu i w szkole nie została jeszcze ani należycie oświetlona, ani, co za tem idzie, należycie postawiona.

Rodzina i u nas uległa wstrząśnieniu. Atmosfera domu polskiego nie jest już tą atmosferą pogody i miłości, prostych a głębokich uczuć, entuzjazmu dla prawdy i dobra, czego tak pilnie strzegły matki-Polki, należące do pokolenia 1863-go roku.

Czas zrobił swoje i tać nie można, że przemiana, która się dokonała, osłabiła i u nas więzy rodzinne.

Wstrząśnienia wielkiej wojny dokonały reszty, a ciężkie warunki ekonomiczne, które po wojnie zaniepokoiły tak silnie rodzinę inteligentną, nie przestają być znakami zapytania, postawionemi nad jej przyszłością.

Samo założenie rodziny staje się dzisiaj dla jednostki ciężarem ponad siły. Założyć dom, stworzyć gniazdo rodzinne, mieć i wychować kilkoro dzieci, wykształcić je, to znaczy przez lat kilkanaście łożyć na kosztowną szkołę i pokrywać związane z nią wypadki — oto co niejednego młodzieńca napęłnia lękiem i powstrzymuje od małżeństwa.

Egoizm ludzki, dążenie do wygod, do komfortu, niezdolność do wyrzeczenia się pewnych przyjemności życia, fałszywy stosunek do tego, co nazywamy cywilizacją i kulturą, a do współudziału w czym coraz szersze warstwy roszczą sobie prawo, słuszne w zasadzie, niesłuszne w wyzyskiwaniu go powierzchownem a pociągającym za sobą znaczne koszty—wszystko to zarysowuje się na horyzoncie rodziny, jako nadciągająca groźna chmura.

Liczba małżeństw bezdzietnych wzrasta u nas szybko. Ograniczenie potomstwa do jednego lub do dwojga dzieci jest na porządku dziennym. Rozwody się mnożą, co świadczy o złem współżyciu małżonków. Jednocześnie, u góry i u dołu społeczeństwa, coraz częściej mamy do czynienia ze stadłami bezżennymi, z luźnymi związkami, czemu wśród inteligencji wolnych zawodów sprzyja przepełnienie biur i uniwersytetów przez kobiety.

Jakiż z tego wyciągnąć wniosek?

Oto warstwy inteligentne, obdarzone większem poczuciem odpowiedzialności moralnej za wychowanie dzieci, pozbawione rodziny, jako ogniska, przestają się normalnie rozmnażać, warstwy natomiast, poczucia tej odpowiedzialności nie posiadające, rozmnażają się poza rodziną tak samo bujnie, jak w jej ramach.

Grozi to społeczeństwu polskiemu coraz mniejszym dopływem eugenicznego materiału obywa-

telskiego, wnoszącego z sobą już przez sam fakt narodzin w warstwie kulturalnej, pewne dodatkowe obarczenia dziedziczne, stawia je natomiast w obliczu przeważającego przyrostu naturalnego, pochodzącego od warstw niekulturalnych. Surowy ten materiał zapełni zczasem po brzegi nasze szkoły i dlatego szkoła, jako instytucja wychowania narodowego, ma przed sobą tak wielkie i tak trudne zadania.

Musi ona nie tylko uczyć według przyjętych szablonów, ale musi jednocześnie *wychowywać*, musi nie tylko oświecać, ale kształcić wolę i rozum, zaszczepiać poczucie obowiązku, zamiłowanie do pracy, miłość ojczyzny, przywiązanie do tradycji, szacunek dla wszystkiego, co dobre i piękne, a nadewszystko budzić w swoich wychowancach świadomość tego, że są Polakami i że to obowiązuje do szlachetnej dumy ze swojej polskości, a przez nią ze swego człowieczeństwa, bo za jedno jest być „Polakiem a człowiekiem”.

Nie łudźmy się jednak, aby szkoła sama, bez współudziału rodziny, mogła kiedykolwiek wychować „Polaka i człowieka”, i dać go w posągowym kształcie, bez żadnej skazy na duszy i ciele, narodowi, jako obywatela.

Najlepiej nawet zorganizowane i przez najświatlejszych ludzi poprowadzone szkolnictwo narodowe, ożywione najpiękniejszymi ideami, nie dokona tego. A stanie temu na przeszkodzie brak

tych imponderabiljów uczuciowych, któremi rozporządza rodzina, a których do sali szkolnej żaden program nie wprowadzi, bo, jak genjusz ludzki nie może wytworzyć sztucznie życia, tak żadna idea wychowawcza nie wykrzesze z siebie tyle ciepła naturalnego, ile go tkwi w przyrodzonym uczuciu matki i ojca dla własnego dziecka.

Uczucie to jest samą naturą, a wobec natury wszystko, co nie jest nią, jest nędznym surogatem.

Niemcy, mistrze surogatów, fabrykowali podczas wojny sztuczne ziarnka kawy, ale takie ziarnko, oszukujące wzrok, smak, powonienie i żołądek, nie miało w sobie nic z przyrodzonej prawdziwemu ziarnku tajemniczej siły życia. Było martwe.

Tak samo martwym będzie posiew szkoły, o ile serca dziecka nie obudzi przedtem rodzina i nie wyposaży go w żywą siłę samodzielnego kielkowania i wzrostu.

Obracamy się tu w sferze tajemnic, które stanowią nieodgadnioną istotę życia. Właśnie jednak dlatego, że mamy do czynienia z tajemnicą, orjentujemy się łatwo w kierunku rodziny, która, na tej tajemnicy oparta, jest żywym, krwią tętniącym organizmem, powołanym do istnienia przez niezawodzący nigdy instynkt gatunku, dążącego do samozachowania i przekazania swoich cech dalszym pokoleniom.

Szkoła takim organizmem nie jest. Życie jej

nie jest funkcją naturalną, ale zjawiskiem wtórnym, powstającym przez obecność w niej ucznia i nauczyciela, a powołaniem do istnienia przez człowieka dla ułatwienia mu walki o byt.

Dlatego związek pomiędzy nauczycielem a uczniem nie jest związkiem naturalnym, jak związek pomiędzy rodzicami a dzieckiem, ale związkiem o charakterze społecznym, i, jako taki, ma przedewszystkiem cele społeczne na widoku.

Nie rozwija więc szkoła indywidualności fizycznej ani psychicznej dziecka, jak to czyni rodzina, utrwalająca w niem cechy swojej „rasy”, lecz, przeciwnie, indywidualność tę przystosowuje do współżycia z indywidualnościami innymi, przycina ją, jak ogrodnik przycina szpaler grabowy, i ustawia w szereg, jak ustawia się wojsko do manewrów zbiorowych.

To jest potrzebne, ale życie nie znosi jednolitości, nie znosi koszar. Istotę jego stanowi bogactwo form i odmian. To też bolszewickie eksperymenty skoszarowywania dzieci proletariatu, burżuazji i inteligencji dla wychowywania ich w zasadach komunistycznych nie dały spodziewanych owoców. Zawiodły one całkowicie ideologów, którzy widzieli w tem fundament nowej ludzkości. A co najciekawsze, pierwszy proletariąt zaczął dzieci swoje wycofywać z koszar komunistycznych, instynktem wyczuwszy, że nie tędy prowadzi droga do ich szczęścia.

Rodzice, którzy tego szczęścia istotnie dla

dzieci swych pragną — a takich, którzyby go nie pragnęli, niema w społeczeństwach ludzkich — nie wyrzekną się tedy nigdy swoich praw na rzecz szkoły i nie zrezygnują z „wychowania” dzieci, według zasad, które ich doświadczenie życiowe, ich uczucie i rozum uznały za najlepsze.

Dzieci — to nasza nieśmiertelność, w nich żyjemy dalej, w nich odradzamy się, przez nie łączymy się z przyszłością narodu, jak one przez nas łączą się z jego przeszłością.

Im przekazujemy to, co jest w nas najlepsze, co pragniemy, aby istniało dalej. Nie wsączamy w ich dusze naszych goryczy i zawodów, ale wszczepiamy im nasze ukochania i nadzieje. Nie burzimy w nich tego, co w nas życie zburzyło, ale staramy się umocnić w nich to, co w nas samych burzom się oparło, co ujawniło swoją wytrzymałość na parcie czynników zewnętrznych. Nie chcemy, aby popełniały one nasze błędy i powtarzały nasze przewinienia, ale pragniemy, aby nasze wartości duchowe i umysłowe odkwitły w nich i rozwinęły się jeszcze pełniej i doskonaiej.

W tym celu je „wychowujemy”, to znaczy „chowamy” i „chronimy” przed złem a prowadzimy ku dobru, nie tak, jak Rosjanin, który chce dziecko tylko „wospitać”, to znaczy „wykarcić”. Nic więcej.

A teraz zapytujemy się, co, jako Polacy, pragniemy dzieciom naszym przekazać, w co chce-

my je najbardziej wyposażyć dla ich własnego dobra i dla dobra ojczyzny?

Oto chcemy, aby synowie nasi i córki nasze wyrosli na ludzi tęgich, aby przy zdrowiu fizycznym, przy możliwie doskonałej urodzie ciała, co jedynie daje rękojmię pełni życia, każdy mężczyzna i każda kobieta w Polsce posiadali nawskroś polską duszę, aby silnie byli przywiązani do swojej ziemi, do swego języka i do tradycji narodowej, aby stąd płynęła ku nim nie smutna rezygnacja i bolesne poczucie bezsiły, jak to było udziałem pokoleń poprzednich, urodzonych i wychowanych w niewoli, ale dumna świadomość przynależności do wielkiego narodu, który, odzyskawszy niepodległość, może i powinien zbudować sobie sławne dzieje, w niczem nie ustępujące dziejom w okresie najświetniejszego rozwoju Polski przedrozbiorowej.

Chcemy, aby każdy Polak i każda Polka byli świadomi tych walk i ofiar, które naród poniósł dla odzyskania swej niepodległości i niepodległości tej strzegli, jak najcenniejszego skarbu, jak źrenicy oka własnego. Chcemy, aby czuli się związani z ojczyzną sercem i duszą, a twórczym umysłem i wolą pracowali dla jej szczęścia.

To są podstawy wychowania narodowego. A cóż może je dać młodemu pokoleniu, jeśli nie rodzina?

Dobra szkoła może jedynie nie zepsuć i nie

spaczyć tego materiału, jaki jej powierzają rodzice, i to już będzie jej wielką zasługą.

Zapewne, wychowanie dzisiejsze w rodzinie posiada wiele stron ujemnych. Dalekie ono jest od ideału wychowania narodowego. Materjalizm naszej epoki i w ślad za nim idący hedonizm odbiły na niem swoje piętno. Ale, pomimo to, nawet najmniej świadomi swoich zadań wychowawczo-narodowych rodzice, na ogół zadania te spełniają lepiej, niż szkoła, bo więcej, niż ona, kochają i więcej, niż ona, szanują indywidualny charakter i indywidualne potrzeby umysłu i serca dziecka.

A można ufać, że w miarę podnoszenia się poziomu życia kulturalnego w narodzie, w miarę zbliżania się nieuniknionego zwycięstwa ducha nad materją, podnosić się także będzie i poziom wychowania narodowego w każdym domu polskim.

Wówczas powoli zniknie z jednej strony tak często spotykane w warstwach inteligentnych przeczulenie w stosunku do dzieci (*Affenliebe*), z drugiej — w warstwach ludowych — pogląd na dziecko, jako na siłę roboczą, przedwcześnie do warsztatu pracy zapędzaną.

Rozwinie się natomiast racjonalny stosunek do dziecka, jako do przyszłego człowieka i przyszłego Polaka-obywatela.

Rodzice zrozumieją, że wychowują dziecko nie dla siebie, nie dla nasycenia swoich uczuć

lub uzyskania pomocy w pracy, ale dla niego samego i dla narodu że ich syn i córka, dorósłszy, muszą żyć swoim własnym życiem i brać udział w życiu narodu pełnią swoich sił fizycznych, jako pracownicy i obrońcy ojczyzny, i pełnią swoich sił duchowych i umysłowych, jako twórcy jej pomysłowości dziejowej i bogactw kulturalnych, rozstrzygających o wartości narodu i jego prawach do odrębnego bytu.

Wtedy to mniej będziemy dbali o materialne zabezpieczenie dzieci i uwolnienie ich od walki o byt, co wytwarza dzisiaj, pasorzytującą na społeczeństwie, warstwę „używaczy życia”, ludzi bez mięśni, o chorych nerwach, zwyrodniałych instynktach i pustych najczęściej duszach, narzekających na bezsens istnienia, ale, przeciwnie, wiedząc, że tylko w walce hartują się wole i dojrzewają charaktery, dążyć będziemy do uposażenia dzieci w to wszystko, co do walki tej, nieuniknionej dla człowieka, uzbraja i co czyni go w niej zwycięzcą.

A uzbraja do niej obok zdrowia fizycznego i odpowiedniego wykształcenia przede wszystkim zdrowy podkład uczuciowy. Nie mdły sentymentalizm, ale silne, męskie uczucie. Bo w życiu, żeby walczyć i zwyciężać, nie upadać na duchu i nie rezygnować z walki przy pierwszym niepowodzeniu, trzeba mieć mocne ukochanie swojego celu. Trzeba nie połową, ale całą duszą wszczepić się w ojczyznę i jej rozkwit

wszechstronny uznać za dążenie zasadnicze swojego życia indywidualnego. Trzeba mieć *wielką miłość*, w której się roztapia, ale i odnajduje zarazem w coraz nowym, odradzającym się ciągle kształcie, „ja” ludzkie.

Do takich ukochań nie dochodzi się odrazu.

Młodość, przeżywająca swój nieunikniony okres, nie jest kompozycją, zaimprowizowaną przygodnie. Składa się ona z tysiąca melodyj, szarmonizowanych w sercu ludzkim przez życie, wielkiego kapelmistrza, któremu wszystko w nas jest i musi być posłuszne.

A melodie te idą z nami w życie i przez życie od kolebki, od domu rodzinnego, od kolan ojca i matki, gdzie obudziły się pierwsze uczucia, gdzie po raz pierwszy drgnęły nasze serca przywiązaniem. Tam jest źródło i początek wszystkich naszych ukochań późniejszych.

Miłość, przeżywająca swój nieunikniony okres, „burzy i prądów”, często nie zdaje sobie z tego sprawy, ale człowiek dojrzały wie i rozumie, że temperaturę swojego serca zawdzięcza rodzinie. Poza nią rozwija się oschłość i oziębłość uczuć, egoizm i bezwzględność. I dlatego rodzina z punktu widzenia narodowego i społecznego jest i pozostanie zawsze najlepszą i najcenniejszą instytucją wychowawczą. Na niej oprzeć się musi naród, jako na zrębie niewzruszalnym.

A szkoła? Jakież są jej zadania?

Ona, jak już mówiliśmy, otrzymuje nastawio-

ny w rodzinie aparat serca dziecięcego i cała jej rola polega na tem, aby tego delikatnego aparatu nie uszkodzić, to znaczy, aby w dziecku zdolności nie zburzyć, ale na nich budować.

I znów tylko szkoła, która z miłością idzie ku dziecku i na miłości opiera cały swój do niego stosunek, może się kusić o miano *narodowej*, bo nie napis na jej murach, nie język wykładowy, którym posługują się nauczyciele, ale jej duch, jej umiejętność budzenia i uprawy czystych i szlachetnych uczuć, któremi żyć powinno każde serce polskie, rozstrzygają o jej znaczeniu wychowawczem i narodowem.

Tylko taka szkoła może „wychowywać”. Inne szkoły jedynie „oświecają”, dając uczniom swoim pewną sumę wiadomości, niewątpliwie niezbędnych, ale niewystarczających do tego, aby dobrze przeżyć życie.

Niestety, typ szkół „oświatowych” jest jedynym typem szkoły, jaką posiadamy obecnie w Polsce. Co więcej, wlecze się za tą szkołą długi łańcuch niedomagań, wyniesionych z okresu niewoli. Pokutują w niej rosyjskie, niemieckie i austriackie metody wychowawcze, nałogi pedagogiczne i „systemy”, które uczyniły izbę szkolną podobną do sali sądowej. Tam czyni się „sąd nad dziećmi”, bada się i ocenia ich wiadomości, ale nie zagląda się do ich serc, nie uczy się ich kochać nikogo i niczego.

Program szkoły wymaga od dzieci tylko te-

go, aby „wiedziały“, a nauczyciel, „urzędnik rządowy“, jest wykonawcą tego programu, często zimnym i obojętnym na wszystko poza troską o swój chleb i swoją karierę służbową. Mało lub wcale nie interesuje się on tem, co dzieci „czują“.

Stąd, pomimo zmienionych warunków, jesteśmy świadkami niesłuchanie małego przywiązania dzieci i młodzieży do swoich szkół, do swoich nauczycieli, nawet do wspomnień z lat szkolnych.

Stąd również widzimy w społeczeństwie, pomimo wzrostu oświaty, stałe obniżanie się poziomu kultury uczuć.

Jest to zjawisko złowróżbne. I dlatego szeroki, śmiały gest w kierunku zbudowania szkoły narodowej, gest, na który naród czeka od chwili odzyskania niepodległości, jak dotąd, napróżno—musi oprzeć się przede wszystkim o *uczucie*, ono bowiem tylko złączy szkołę z rodziną i uczyni jedną dopełnieniem drugiej.

W dobie wyteżonej rusyfikacji i germanizacji szkoła obca w Polsce walczyła z rodziną o duszę i o serce dziecka. Dzisiaj szkoła powinna

duszę i serce dziecka zwracać rodzinie, jak
kwiat z drobnego pąka w pełny kie-
lich rozwinięty. Niezwiędły
i niezwarzony.

NAUKA I SZTUKA.

Jeżeli potężną dźwignią kultury narodowej jest tradycja uczuciowa, wyniesiona z domu rodzinnego, to również potężnym czynnikiem, który poczucie nierozzerwalnego związku z ojczyzną narzuca oświeconemu obywatelowi, jest tradycja, zawarta w umysłowym i duchowym dorobku narodu.

Dorobek ten, skapitalizowany w nauce, literaturze i sztuce narodowej, pozwala nam jednym rzutem oka objąć bogactwo i dostojność naszej kultury. Poznać go — to znaczy przejść w skróconem tempie przez wszystkie etapy rozwoju narodowego, wiedzieć co i kiedy zostało dokonane.

Praca i wysiłek najlepszych w narodzie jednostek, które myślą, wolą i uczuciem swoim zapładniały naród, które przewodniczyły mu w jego pochodzie i oświeślały jego drogi, dając mu syntezę przeżyć minionych, lub wybiegając wyobraźnią w przyszłość, uczyniły nas nietyłe dziedzicami przeszłości narodu, lecz dały nam

również możliwość przewidywania jego jutra i budowania go według naszego ideału.

Dla jutra żyjemy wszyscy. Dla jutra żyły także pokolenia poprzednie. Ich terażniejszość była tem samem, czem jest nasza terażniejszość: falą, która odpływa z godziny na godzinę i nie wraca nigdy.

Ślady tej fali na wybrzeżu naszego dnia dzisiejszego są widoczne. Każdy jej odpływ pozostawił nam po sobie namul użyźniający. Na tym namule wyrosliśmy. Tak samo wyrosną przyszłe pokolenia na tem, co my im pozostawimy, jako ślad naszego przemijającego na ziemi polskiej istnienia. W naszych uczuciach, myślach i dążeniach zależni jesteśmy od naszych przodków i tak samo od nas zależni będą nasi następcy. Dla nich żyjemy i pracujemy. Im torujemy drogi do lepszego i wyższego życia. Im przekazujemy całą sumę zdobytych przez nas doświadczeń, tak samo w dziedzinie materialnej, jak w dziedzinie duchowej i umysłowej.

Prawda, piękno, dobro, marzenie o szczęściu nie zaczynają się dopiero od nas. Szukały ich, pragnęły i tęskniły do nich pokolenia poprzednie, a szukać ich, pragnąć i tęsknić do nich będą tak samo pokolenia przyszłe.

Złudzeniem przeto i oszustwem jest *postęp*, który tę wzajemną zależność od siebie pokoleń neguje, któremu wydaje się, że, chcąc tworzyć przyszłość, należy odrzucić przeszłość, zerwać

z nią i wyzwolić się z pod jej przygniatającego panowania.

„Precz z balastem przeszłości“! wołają dzisiaj wszelkiego rodzaju „futuryści“. Precz z historją, z muzeami, pełnemi starych rupieci, z bibliotekami, gdzie pleśnieją, nikomu już niepotrzebne, książki, z religją, która opowiada bajki dorosłym dzieciom, z ustrojem społecznym, opartym na zmurszałym i przeżyłym fundamencie rodziny i t. d. „Nowy świat“ musi zrzucić z siebie skorupę, która narosła na nim przez wieki, musi stanąć nagi i w „styksowym wykąpany mule“ w obliczu idącego jutra.

Są to puste frazesy. „Balast przeszłości“ potrzebny bowiem jest każdemu narodowi do utrzymania równowagi dziejowej, tak samo, jak ciężar balastowy potrzebny jest okrętom i statkom napowietrznym.

Inaczej pierwsza burza przewróci naród, zniszczy państwo i społeczeństwo, co w wynikach ostatecznych zamiast postępu da reakcję i uwstecznienie. Tak stało się z Rosją, która dogorywa w konwulsjach rewolucji bolszewickiej, najbardziej „postępowej“, jaka była kiedykolwiek i najbardziej ślepej.

Tymczasem postęp rzeczywisty, ten, który naprawdę pcha świat naprzód, nie polega na zerwaniu z przeszłością i szalonym skoku z zamkniętymi oczami w jutro, ale na czerpaniu z przeszłości, bo tylko stamtąd czerpać je można, tych

wskazań i doświadczeń, które są pożyteczne, a które dopomagają do przewidywania przyszłości, do odgadywania tych procesów rozwojowych i twórczych, które czynić powinny każde jutro narodu doskonalszem od jego wczoraj.

Bojownikiem postępu nie jest więc ten, kto burzy przeszłość, kto przeciw niej występuje namiętnie i ukazuje ciemnym masom nierealne obrazy jutra, ale ten, kto najtrafniej i najrealniej to jutro przewiduje i przygotowuje teraźniejszość do jego przyjęcia, kto przyszłości wychodzi naprzeciw nie z czarną chorągwią anarchji, ale z twórczem, miłością przepojonem słowem „stań się”! z czynem obliczonym na zamiar, i z poczuciem odpowiedzialności za ten czyn.

A któż może widzieć jasno „jutro” narodu, jeżeli nie zna jego „wczoraj”, jeżeli nie przejrzał do głębi ducha narodu, który jest motorem jego czynów, nie poznał wszystkich twórczych i rozkładowych, popędowych i hamujących sił, które naród na przestrzeni wieków, zależnie od okoliczności, wyłonił z siebie i które są wykładnikiem jego treści wewnętrznej, a więc istotą jego bytu i przeznaczenia?

Zapomocą tych sił wypowiedział się duch narodu w dziejach, najwszechstronniej pojętych, a przede wszystkim w dziejach swojej kultury.

Najwyższy wyraz tej kultury—nauka i sztuka

ka — są zwierciadłem, w którym duch narodu odbija się w swoim całokształcie.

Tam trzeba szukać jego cech znamiennych, jego rysów zasadniczych, które składają się na jego indywidualność i wyodrębniają go z pośród innych narodów. Tam twórcze siły narodu znalazły najpewniejszy swój wyraz, wypowiedziały się najswobodniej i najniezależniej.

Badając naukę i sztukę ze stanowiska narodowego, szukamy więc w nich nie tego, co je łączy i upodabnia do nauki i sztuki innych narodów, ale tego, co stanowi o ich własnem obliczu, co daje nam poznać nie prawdę i ideał ogólnoludzki, ale prawdę i ideał naszego narodu.

Te cechy narodowe nauki i sztuki są tak wybitne, tak wyraźne i tak niezaprzeczalne, że zgół żadnej nie wytrzyma krytyki truizmu o ich *międzynarodowości*.

Międzynarodowe są: poczta, telegraf, wagony sypialne w ekspresach europejskich, ale nigdy nauka i sztuka.

Każdy naród posiada swoją własną filozofję, na swój sposób określa stosunek człowieka do Boga i Natury, na swój sposób pojmuje życie i jego cele, na swój sposób tworzy i urzeczywistnia swoje ideały.

Nie wystarczy Polakowi niemiecki ideał „dobrobytu i knajpy”. Nie wystarczy Anglikowi, którego „ojcem jest okręt, a matką para” polski altruistyczny ideał walki „za naszą wolność i wa-

szą". Nie wystarczy Francuzowi, który żyje od wieków pojęciami „honoru i ojczyzny”, amerykański ideał „businessu”.

Zachodzą tu między narodami różnice intelektualne i psychologiczne, których nic nie zagłodzi i nie wyrówna. Zarysowały się one od wieków i przetrwały wieki. Wiedział o tem Cezar, charakteryzując Gallów, wiedział Tacyt, pisząc o Germanach. Nic się od tych czasów nie zmieniło. Odrębności umysłowe i duchowe pozostały odrębnościami.

To też nauka europejska, mimo tego, że jej cele zasadnicze są wszędzie jednakowe, że *prawda*, która jest jej ideałem, jest tylko jedna, nie przestanie się nigdy dzielić na naukę francuską, angielską, niemiecką, polską i t. d.

Narodowość odbija na niej zawsze swój stempel, bo uczony niemiecki nie będzie miał nigdy syntetycznych zdolności i łacińskiej jasności Francuza, Anglik nie będzie miał nigdy lotności umysłowej i błyskotliwości Polaka, a Polak angielskiej prostoty w wyrażaniu swych myśli, lecających cwałem, ani niemieckiej upartej cierpliwości i wytrwałości w dążeniu do celu.

Jeszcze wyraźniej występuje to najaw w sztuce, gdzie duch każdego narodu rozwija najpełniej swoje skrzydła i najswobodniej ściga własny ideał piękna.

Dlatego wielka sztuka jest zawsze sztuką narodową.

Tam, gdzie kończy się zależność i naśladownictwo, a rozpoczyna dojrzała, samodzielna twórczość narodu, duch narodu wyzwala się i mówi z krzów ognistych: „jam jest, którym jest”.

Nawskroś narodowym, jako poeta, był Mickiewicz i nawskroś narodową pozostanie po wszystkie czasy jego poezja.

Żaden inny naród nie będzie umiał odczuć ani całego piękna „Pana Tadeusza”, ani całej grozy tragicznej i napięcia uczuciowego „Dziadów”.

Podobnie narodową jest muzyka Chopina, której każda melodia związana jest blisko i nierozwalnie z sercem polskim. Może ona czarować obcych, ale będzie dla nich zawsze czemś egzotycznym. Odczuje ją i zrozumie tylko Polak, bo przejmie ona i wprawi w drżenie każdą fibrę jego polskiej duszy.

Narodowe jest również nasze wielkie malarstwo. Nie zastąpią nam Matejki, Grottgera, Chełmońskiego i Wyspiańskiego mistrze obcy, niejednokrotnie więksi od nich, wspanialszy w kolorystyce i w geście, w rysunku i w kompozycji, ale nie tak bliscy, nie tak bezpośrednio związani z nami, jak oni.

Na czymże ta bezpośredniość związku artysty z narodem polega? Cóż stanowi jej istotę?

Oto nic innego, tylko to, że z jednego z nami są oni pnia, że jednakowo z nami czują i myślą, że wspólne są nasze ukochania.

My jesteśmy z nich i w nich, a oni są z nas

i w nas. Oni są wyrazicielami tego, czego my wyrazić nie umiemy, oni darem swojego artystycznego widzenia widzą to, czego my nie widzimy, oni nadają kształt naszym ideałom i formę mgławicom naszych tęsknot.

W dziełach naszych artystów odnajdujemy siebie, swoją duszę, i dlatego stanowią one ten cudowny łącznik pomiędzy nami.

One są skarbcem tych idei, któremi naród żyje, które przechodzą z pokolenia na pokolenie i do których każde pokolenie dorzuca swój wkład.

Tam znalazły swój wyraz wszystkie rysy naszego oblicza duchowego, swój dźwięk wszystkie tony naszych uczuć, swój kolor wszystkie namiętności narodu.

Tam poznajemy siebie w najrozmaitszych odmianach, w przeszłości i teraźniejszości, w życiu indywidualnem i zbiorowem, w radości i w smutku, w prawdzie i w marzeniu, w powadze wielkiego czynu i w uśmiechniętej karykaturze szarego życia.

„Życie jest krótkie, a sztuka długa”. Ona odbija w sobie nie życie jednego pokolenia, nie przelotne jego oblicze, ale trwające nieprzerwanie w czasie życie narodu, kształt jego ducha.

I dlatego narodu bez jego sztuki poznać nie można.

Twórczość artystyczna, najbardziej indywidualna ze wszystkich objawów życia narodowego,

jest stygmatem, po którym naród zawsze można odróżnić od narodu.

Jednakowo mogą być wykonane maszyny, pochodzące z fabryk angielskich, niemieckich, francuskich czy polskich; jednakowo będą wytoczone ich koła, oszlifowane tłoki i cylindry; jednakowo będą pracowały z siłą tyłu a tyłu koni parowych i tylko marka fabryczna świadczyć będzie o ich pochodzeniu.

Jakież jednak różnice, głębokie a uchwytnie odrazu, istnieją pomiędzy sztuką jednego a drugiego narodu?

Któż utożsamia autora rosyjskiego z francuskim, angielskiego z polskim, skandynawskiego z włoskim? I kto nie uprzytomni sobie, jakim dziwołagiem i jaką pomyłką byłoby, gdyby naszymi poetami narodowymi byli nie Mickiewicz, Słowacki i Krasiński, ale Goethe lub Byron?

To samo jest z muzyką, z malarstwem i rzeźbą. Nie są przypadkowemi zjawiskami Beethoven i Mozart w swoich narodowych środowiskach, a Chopin i Moniuszko w Polsce.

Na tej podstawie można ustalić, że twórczość artystyczna wykreśla pomiędzy narodami granice częstokroć daleko wybitniejsze i wyraźniejsze, a przede wszystkim trwalsze, niż zmienne i przemijające granice polityczne.

W trójjaborowym życiu naszym żyliśmy pod wpływem dwóch kultur: rosyjskiej i niemieckiej. Obie, oparte o państwa zorganizowane i potęż-

ne, miały siłę, której my byliśmy pozbawieni. Obie rozporządzały w zakresie szerzenia swoich wpływów oddaną na ich usługi szkołą wy-naradawiającą, obie chlubiły się bogatą literaturą i sztuką.

Cóż się jednak okazało? Twórczość polska wpływom tym nie uległa, ale zachowała swoje oblicze narodowe.

Najpotężniejsi twórcy rosyjscy, Dostojewskij i Tołstoj, nie zaważyli nic na twórczości Sienkiewicza, Prusa lub Reymonta, a nikłym tylko i przemijającym śladem zapisali się w wielkim dorobku romansopisarskim Żeromskiego.

O wpływach sztuki niemieckiej na naszą prawie że mówić nie można.

W literaturze wpływy te są żadne. Co więcej, badając dwujęzyczną twórczość Przybyszewskiego, można raczej stwierdzić, że jego utwory, pisane po niemiecku, wniosły pierwiastki polskie do literatury niemieckiej i odbiły się w stylu modernistów niemieckich.

W sztukach plastycznych i w muzyce wpływy te były większe, lecz przemijające.

Malarstwo polskie stało przez pewien czas pod znakiem szkoły monachijskiej, ale jakże rychło wyzwoliło się z pod jej panowania i do jakiego doszło wyniku na własnych drogach, dając nam całą plejadę malarzy, którzy w barwie i kształcie wyrazili ducha polskiego w jego

najwyższej postaci, wolnej od jakichkolwiek nalciałości obcych.

Malczewski, Wyczółkowski, Wyspiański, Kędzierski, Weiss, Mehofffer, Fałat, Axentowicz, Jarocki, Sichulski... I czy wyliczać jeszcze dalej?

A muzyka polska? Czy, mając za sobą Chopina i Moniuszkę, może ona „umiędzynarodowić” się przez wagneryzm lub skriabinizm? Twórczość muzyków polskich nie budzi w tym kierunków obaw.

„Granice artystyczne” Polski wolnej mogą się tylko umocnić i rozszerzyć. Nie znikną i nie uszczuplą się nigdy.

Gwarantem ich trwałości jest trwałość i odrębność ducha narodowego.

Sztuka, jako wyrazicielka tego ducha, jest tak samo niezniszczalna, jak niezniszczalny jest naród. I dlatego nie jest ona kłamstwem, ani zbytkiem, z którego szerokie warstwy ludowe żadnego nie mają pożytku, jak to głosił Tołstoj, ale funkcją życia narodowego, nieodzowną dla niego tak samo, jak inne funkcje.

Znaczenie jej wychowawczo - narodowe jest ogromne. Przykład Grecji za czasów Peryklesa, Florencji za Medyceuszów i Rzymu za Juljusza II-go jest bardzo wymowny.

Rzecz inna, że tragedją wielu narodów współczesnych a naszego w szczególności jest fakt, że przy niskim poziomie oświaty powszechnej, a u nas przy analfabetyzmie mas, wielomiljon-

we rzesze stoją poza możliwością zrozumienia doniosłego znaczenia nauki, literatury i sztuki. Nie korzystają ze spoczywających w nich skarbów, nie czerpią stamtąd pokarmu dla siebie. Pomiedzy nimi a resztą narodu niema więc tego łącznika, jaki wytwarza w warstwach kulturalnych jednakowe odczuwanie prawdy i piękna.

Wytworzenie tego łącznika, niemniej potężnego jak wszystko inne, co nas łączy pomiędzy sobą, jako rodaków, stanowi jedno z najważniejszych zadań oświaty narodowej. Wówczas dopiero, kiedy to osiągniemy, kultura narodowa polska otrzyma, zamiast dawnego szlacheckiego, nowoczesny fundament ludowy, co pozwoli jej dopiero objąć i na-
sycić cały naród.

SILA KULTURY POLSKIEJ.

Dwie są miary kultury narodowej. Jedną z nich są zdobycze, jakie naród osiąga sam dla siebie, dobra, które gromadzi, rozkwit, do którego w rozwoju dziejowym dochodzi. To każdy naród ocenia według siebie i to jest wewnętrzną miarą jego kultury. Drugą miarą—zewnętrzną—jest zdolność asymilacyjna kultury danego narodu. Zdolność ta nie zawsze idzie w parze z poziomem kultury. Są kultury wysokie, które posiadają tę zdolność w bardzo małym stopniu i, odwrotnie, są kultury pozornie niższe od tamtych a posiadające swój urok, swój powab swoisty, który sprawia, że asymilują one łatwo żywioł obcy, przywiązują do siebie i podbijają bez myśli o podboju.

Typowym przykładem wysokiej kultury o małych zdolnościach asymilacyjnych jest kultura niemiecka.

Nie da się zaprzeczyć, iż należy ona do najpotężniejszych kultur nowoczesnych, że odpowiada ściśle potrzebom narodu niemieckiego

i że doprowadziła ten naród przed wojną do wszechstronnego i zdumiewającego rozkwitu.

Pomimo tych niezaprzeczonych zalet jest to jednak kultura dla innych narodów mało pociągająca. Asymilowała ona zawsze z trudem, wszystko jedno, w Polsce, w Alzacji i Lotaryngji, czy w Kamerunie.

Tendencje podbojowe kultury niemieckiej zawiodły. Oczywiście, w morzu niemieckiem tońęty jednostki obconarodowe, jeśli nie było komu rzucić im pasa ratunkowego. Nigdy jednak nie prowadziło do tego poczucie „ojczyzny” niemieckiej, która, w upojeniu swoją wielkością i potęgą, narzucała się wszystkim.

Od „ojczyzny” tej odwracał się każdy Polak i każdy Francuz, będący „pruskim obywatelem” w imię gwałtu a nie z wolnego wyboru i przekonania. Alzatzczyk i Lotaryńczyk, o ile widzieli trzepocącą się za słupami granicznymi trójkolorową chorągiew francuską, Polak, o ile czuł, że o miedzę ma współbraci, którzy, tak samo walcząc, wesprą go i dopomogą mu w walce—bronili się z uporem nawet w już zdobytych sztańcach.

Nie poddawali się, nie naginali karków do jarzma. Wybierali ucisk i prześladowanie nad „miód” kultury niemieckiej.

Przyjmując nawet zwyczaj i obyczaj niemiecki, ulegając wpływowi przeważającego środowiska, szpecąc swój język naleciałościami niemieckimi, czuli jednak, że bliższą i droższą

jest im kultura własna, narodowa, do której często przywiązani byli więcej instynktem rasy, niż znajomością jej rzeczywistych wartości.

Zdarzało się nieraz, że nawet pod pokostem niemieckim, zacierającym zupełnie nieniemiecką narodowość, były serca dalekie od solidaryzowania się z melodją pieśni „Deutschland über alles“.

Kultura niemiecka, która ma niską temperaturę uczucia, nie umiała zjednywać sobie obcych.

Rozkwit materialny Niemiec, stale postępujący naprzód dobrobyt szerokich mas, udogodnienia życiowe, doskonała organizacja i administracja — wszystko to przekonywało, ale zimny i nienawiścią przepojony duch pruski odtrącał od siebie.

Gdyby nie to, gdyby nie te odstręczające cechy kultury niemieckiej, kto wie, czy nie pochłonełaby ona zczasem całkowicie owych 3 $\frac{1}{2}$ milionów Polaków, wydanych na łup germanizacji w obrębie Królestwa pruskiego i Rzeszy.

Nie oparliby się jej także Alzatzycy i Lotaryńczycy, liczebnie słabsi i murem bagnetów pruskich odgrodzeni od Francji.

Na szczęście nasze i Francuzów, panowanie niemieckie było tylko panowaniem pięści. Kultura zaś niemiecka, pomimo pozorów siły, w rzeczywistości siły tej nie ujawniała.

Powtórzyło się tu to samo, co było niegdyś, w okresie nawracania „ogniem i mieczem” po-

gańskich ludów Prus i Litwy. Ustępowano przed brutalną siłą, przybierano pozory uległości, skrycie jednak czczono dawnych bogów i wracano do ich kultu, skoro tylko świst mieczów przycichał a łuny pożarów bladły.

Tak samo teraz, z chwilą pogromu Niemiec, odnajdują się tysiące i dziesiątki tysięcy Polaków na Górnym Śląsku i na Pomorzu.

Ludzie ci przez długie lata nie mieli odwagi przyznawania się do swojej narodowości polskiej, ukrywali ją, jak grzech, w obawie, że ich ta polskość wyda na prześladowanie, że stracą chleb, że będą musieli pójść na tułaczkę. Tak było istotnie.

To też przy spisach ludności, dokonywanych przez urzędników pruskich, podawały się „według języka domowego” za niemieckie rodziny, które nie miały w żyłach ani jednej kropli krwi niemieckiej. Postęp niemczyzny na kresach wschodnich zaznaczał się co dziesięć lat i co dziesięć lat rosły nadzieje niemieckie na zupełne zgermanizowanie ziem polskich. Nie szczędzono na to środków. Wysilek wzmagał się. Hakatyzm triumfował i przekonywał do siebie rezultatami nawet tych Niemców, których sumienie ludzkie początkowo wzdrygało się przed walką eksterminacyjną, przed rugami i wywłaszczeniem.

Dzisiaj zaczyna się proces odwrotny. W atmosferze odzyskanej wolności narodowej manife-

stuje się polskość nawet tam, gdzie zdawało się, że starta ona została z oblicza ziemi, gdzie pozory mówiły już o jej zagładzie.

Na Pomorzu i na Górnym Śląsku są Polacy, którzy prawie mówić po polsku nie umieją, którzy posługują się jeszcze mową niemiecką, jako językiem potocznym, ale którzy niemniej gorąco od nas po polsku czują i niemniej mają radości w piersiach z powodu zmartwychwstania ojczyzny.

A więc kultura niemiecka ich nie strawiła. Ogłuszył ich tylko duch niemiecki. Dzisiaj odzyskują przytomność i świadomość narodową.

Jest to początek wielkiego procesu odrodzenia narodowego naszych kresów zachodnich. Początek, który lud górnośląski przypieczętował krwią, ważąc się, przy nierównych siłach, na powstanie przeciwko swoim wiekowym ciemnościom.

Proces ten rozwijać się będzie dalej i nic go już nie powstrzyma. Trudno przesądzić dzisiaj, jak dalekie zatoczy on kręgi, ale to pewna, że dość jest jeszcze popiołów polskich na ziemiach niemieckich, aby Feniks polski mógł z nich powstać.

Kto wie, czy tam, gdzie dzisiaj są cmentarzyska polskie, nie zazieleni się jeszcze kiedyś życie polskie, strzelając nowymi gałązkami od pnia, jak uschnięte drzewo, które, pozbawione korony, nie utraciło jednak czucia z ziemią za-

pomocą korzeni i z nich czerpie siłę do wiosennego odrodzenia.

A od korzeni tych Niemcy drzewa polskiego odciąć nie potrafili.

Ich „kultura” pozwalała na zbrodnicze rąbanie wysokopiennego „lasu polskiego”, ale nie miała sił na karczowanie.

O małej sile tej kultury przy pozorach jej potęgi świadczy jeszcze i to, że żaden naród nie wynaradawia się tak szybko, nie zapomina tak łatwo o swojej ojczyźnie i o swoim pochodzeniu, jak naród niemiecki. To znaczy, że posiada on mało węzłów uczuciowych, łączących go z ojczyzną, że ojczyznę widzi tam, gdzie mu jest dobrze.

Istotnie, żaden inny naród nie wsiąkał nigdy takimi milionami swoich przedstawicieli w obce środowiska narodowe, jak Niemcy. Iluż ich stało się w ciągu wieków w Polsce Polakami a w Rosji Rosjanami! Iluż ich w ciągu ostatnich lat czterdziestu zamerykanizowało się zupełnie, podczas gdy Irlandczycy, Polacy, Włosi, nawet Litwini i Węgrzy zachowali w Stanach Zjednoczonych swoją narodowość i opierali się wielkiej sile asymilacyjnej kultury anglosaskiej.

I to jest znamienne właśnie dla ostatniego czterdziestolecia, które było rozkwitem siły niemieckiej i pychy niemieckiej. Nigdy duma narodowa Niemców nie stała tak wysoko, nigdy przynależność do państwa niemieckiego nie da-

wała takich przywilejów na świecie, nigdy Niemiec nie czuł się tak zadowolonym z tego, że jest Niemcem, jak w tym właśnie okresie, za rządów Wilhelma II-go.

Jeżeli jednak pomimo to Niemcy ulegali wpływom innych kultur i zostawali przez nie asymilowani, to znaczy, że te inne kultury dawały im więcej, niż ich własna kultura, że przywiązywały ich do siebie tem, czego ich własnej kulturze brakowało.

A więc przede wszystkim uczuciem.

I tu dochodzimy do zrozumienia pozornie zadziwiającego faktu, dlaczego kultura polska, pod wieloma względami słabsza od niemieckiej, bo nie oparta jeszcze o tak szerokie warstwy, jak w Niemczech, w dodatku nie mająca za sobą własnej organizacji państwowej a przez cudzą zwalczana długo, uparcie i konsekwentnie przy pomocy całego aparatu germanizacyjnego, nie tylko w walce tej nie uległa, ale potrafiła ze swojej strony poczynić zdobycze wśród Niemców.

Zostawiamy tu na boku przeszłość, kiedy urok mocarstwowy Polski był tak wielki, że działał, jak magnes przyciągający, na narody ościenne.

Wówczas siła asymilacyjna kultury polskiej była zdumiewająca.

Cóż się stało z ową kolonizacją niemiecką w Polsce, której początki sięgają XIII-go wieku? Jakże szybko polszczyła się ludność owych miast

i wsi, osadzonych na prawie niemieckiem przez Kazimierza Wielkiego i jego następców! Jak bez śladu zniknął patrycjat „niemiecki” Krakowa i jak, już w wieku XVI-ym spolszczony, garnął się do szlachty i stawał się szlachtą, nabywał dobra ziemskie, pojmował szlachcianki za żony i córki za szlachtę rodową wydawał.

Nietylko jednak Niemcy asymilowali się w Polsce ówczesnej tak łatwo. Zasymilowaliśmy wówczas pokaźną liczbę Włochów, Węgrów, Czechów, Ormian, nawet Anglików i Holendrów. Wszystko to wsiąkło w nasz naród bez żadnego ze strony tego narodu wysiłku. Z dobrej woli, samo, z przywiązania do nowej swojej ojczyzny. O polityce polonizacyjnej nie śniło się w Polsce nikomu, nawet w stosunku do Litwy i Rusi. Jedynym czynnikiem asymilacyjnym była kultura polska, była wolność polska — kwiat tej kultury. Ona wywierała ten nieprzeparty urok na obcych, ona jednała ich dla Polski, czyniąc z nich nietylko dobrych obywateli państwa, ale i wiernych synów ojczyzny, którzy potrafili krew przelewać i głowy kłaść w jej obronie, przejęci jej rycerskim ideałem.

Jeszcze za Stanisława Augusta polszczyło się z dnia na dzień pstrokate pod względem narodowym mieszczaństwo stołecznej Warszawy, do której „król-słońce” ściągał cudzoziemców ze wszystkich stron świata.

Ale i później, kiedy Polska przestała istnieć, jako państwo, kiedy popadła w potrójną niewolę, iluż jeszcze zamieszkałych w niej cudzoziemców zrosło się z nią uczuciem, brało udział w jej walkach o niepodległość, pracowało dla jej kultury na wszystkich polach? Iluż zasłużonych Polsce porobiorowej mężów nosi nazwiska o brzmieniu obcem? Ilu „żołnierzy polskich” wytoczyło za przybraną ojczyznę swoją *niepolską* krew? I właśnie ten okres naszej niewoli, naszego pohańbienia dziejowego, naszego nieszczęścia narodowego zawiera w sobie najwięcej dowodów uczuciowej siły kultury polskiej.

Kto wówczas został Polakiem, czynił to tylko z potrzeby duszy i serca. Nie miał z tego żadnych zysków. Same straty przynosiła mu polskość. Z wolnego stawał się niewolnikiem, z uprzywilejowanego upośledzonym.

A jednak mamy przykłady nieustającego w ciągu XIX-go wieku polszczenia się cudzoziemców. Polonizowali się nawet Moskale w Królestwie polskiem!

Dzisiaj, kiedy Polska wraca do grona narodów wolnych, kiedy kultura jej, głoszona i zabijana przez wrogów, odzyskuje możliwość swobodnego rozwoju, mniemać wolno, że siły jej asymilacyjne wzmożą się szybko, a urok, jaki wywierała dawniej, spotężnieje.

Spokojnie też możemy patrzeć w przyszłość

kultury polskiej, jeżeli zachowamy i obronimy te jej podstawy narodowe, które w przeszłości dały jej rozkwit, a wzbogacimy ją nowymi wartościami, które czas niesie na swojej fali.

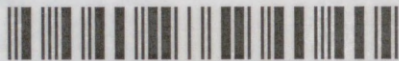
SPIS ROZDZIAŁÓW

Cywilizacja a kultura	7
Ziemia a naród	19
Język a naród	32
Religja	41
Dusza zbiorowa	49
Kultura współzycia	74
Współzawodnictwo i współdziałanie	83
Praca	90
Gniazdo rodzinne	114
Wolność	154
Poczucie prawa	162
Wychowanie narodowe	170
Nauka i sztuka	187
Siła kultury polskiej	199

2603

Biblioteka Główna
Akademii Sztuki Wojennej

6702/1



11-006702-000-0